odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 24 (172)
Łódź, 18-VI. 1961 r.
cena 1 zł

„OPISANIE ŁODZI"

W dniu 15 ub. miesiąca minął termin składania prac w konkursie zamkniętym pn. „Opisanie Łodzi". Ogółem wpłynęło 41 prac. Wstępne rozeznanie pozwala stwierdzić, że Konkurs spełnił pokładane nadzieje organizatorów, tzn. red. „Odgłosów" i Wydziału Kultury Prezydium RN m. Łodzi.

Obecnie trwają prace jury, w którego składzie znajdują się: Marian Brandys, Stanisław Mojkowski, mgr Wacław Piotrowski, Aleksander Postołow, Mieczysław F. Rakowski, Ryszard Stefańczyk, Lucjan Wolanowski.

Przewodniczącym jury jest Wiesław Jażdżyński, naczelny redaktor „Odgłosów".

Prace jury potrwają do 30 bm. Ogłoszenie listy zwycięzców Konkursu nastąpi w lipcu 1961 r.

WYPADKI CHODZĄ po LUDZIACH

2 czerwca, o godz. 11 pod miejscowością Woźniki utonął w Warcie 19-letni Antoni Niedźwiedzki...

W miejscowości Zborów, pow. Łask, 57-letni Franciszek Goldyga, w czasie obcinania gałęzi na topoli, spadł z wysokości 15 m na ziemię ...i poniósł śmierć na miejscu".

„W czasie burzy 14-letni Wojciech Kosiński skrył się do kanału burzowego przy ul. Konstantynowskiej. Kiedy woda przybrała, Kosiński zaczął tonąć. Na szczęście wypadek zauważyli dwaj przechodnie. Chłopca trzeba było przewieźć do Pogotowia".

Dość przykładów. Na tej samej stronie gazety, uważny czytelnik znalazłby więcej podobnych doniesień.

Siła wyższa, powiecie. Nieszczęśliwe wypadki chodzą po ludziach. Były zawsze, są i zawsze będą. Ejże? Czy rzeczywiście siła wyższa? A może raczej nieostrożność, nieświadomość, igranie z ogniem? Może znalazłyby się sposoby, żeby tego rodzaju wypadkom zapobiec?

Wszyscy ludzie dobrej woli jednoczą się, by nie dopuścić do wojny. I słusznie. Wojna jest złem najgorszym. A jednak — jak podaje Międzynarodowa Organizacja Pracy — w latach 1939 — 1945, w Anglii i USA nieszczęśliwe wypadki tylko przy pracy pochłonęły więcej ofiar w ludziach, niż walki na wszystkich frontach. Zgoda, te dwa kraje oszczędzały się podczas działań wojennych. Ale dlaczego nie oszczędzały się na tyłach?

Dlaczego? Bo dopiero teraz ludzkość uświadomiła sobie ogrom nieszczęścia, do tej pory pokój wydawał się stanem permanentnego bezpieczeństwa.

A oto żniwa beztroski. Według danych statystycznych Światowej Organizacji Zdrowia, na każdy tysiąc zgonów wśród dzieci do lat 14 na skutek nieszczęśliwych wypadków ginie 316, analogicznie wśród dzieci od 5 do 14 lat — 414, wśród osób od 15 do 44 lat — 237. Zwykłe, najzwyklejsze przedmioty — pudełeczko aspiryny, czajnik z wrzątkiem, porzucone ostre narzędzie — zadają dziś najmłodszym więcej strat niż gruźlica i paraliż dziecięcy razem wzięte.

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI WROGIEM

W światowej statystyce nieszczęśliwych wypadków na dwie rubryki zwraca się dotychczas szczególną uwagę: wypadków przy pracy i drogowych. I okazuje się, że w 80 procentach przyczyna ich jest nieuwaga, spóźniony refleks u ludzi, którzy jakąś czynność powtarzają mechanicznie.

W roku 1959 w Stanach Zjednoczonych na skutek wypad-

Dokończenie na str. 8

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

PRZEZ PAKISTAN, INDIE I CEJLON

W PYLE PAKISTAŃSKICH ULIC

Pierwszym zmysłem, którym zacząłem poznawać Indię, było powonienie. Zaledwie przed dziobem statku zarysowała się na horyzoncie linia lądu, a już powiało ze wschodu wonią smażonej oliwy, korzennych przypraw, kadzidła, potu i wielu innych trudnych do rozpoznania zapachów. Ta mieszanka będzie odtąd towarzyszyć nam przez całą podróż po krajach Środkowego Wschodu. Nigdzie już jednak nie osiągnie takiego natężenia, jak w Karaczi.

Z daleka witają nas najeżone lufami dział nabrzeżne fortyfikacje i szare sylwetki kontrtorpedowców. W porcie handlowym zatłoczonym statkami różnych bander, uwijają się smukłe łodzie z charakterystycznymi arabskimi żaglami rozpiętymi na długich, skośnych rejach. Na nabrzeżu nie widać dźwigów ani urządzeń przeładunkowych. Praca dokerów jest tu tak nisko płatna, że nie opłaca się jej mechanizować. Wśród spiętrzonych skrzyń, worków i beczek pracuje gromada obdartych, półnagich robotników. Wychudzone, spalone słońcem postacie oblepiły wielką żelazną belkę, jak gromada pracowitych mrówek. Ich okrzyki stapiają się w rytmiczną piosenkę, w takt której ciężar — potężne żdżbło w ruchliwym mrowisku — krok za krokiem posuwa się naprzód. Cały port rozbrzmiewa tym jękliwym zawodzeniem, którego melodia nie zmieniła się prawdopodobnie od tysięcy lat...

Ogromne sępy ważą się w powietrzu na nieruchomych skrzydłach. W mętnej wodzie portowego basenu przewalają się leniwie opasłe delfiny. Z nieba leje się na to wszystko niemiłosierny, tropikalny żar.

W KOLOROWYM TŁUMIE

Wydostawszy się z portu wpadamy w gorączkowy ruch, zgiełk i zamęt. Środkiem jezdni mkną setki rowerowych

Dokończenie na str. 4

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

STANISŁAW KASZYŃSKI

ODWOŁAĆ ALARM *dla łódzkiej* MELPOMENY

W dyskusji o teatrach łódzkich zabiera głos dr Stanisław Kaszyński oraz młody aktor i dramaturg p. Karol Obidniak (str. 4). Zostawiając swobodę wypowiedzi, prosimy o zabieranie głosu.

Jest taka świetna anegdota. Stary Żyd spoczywa na łożu śmierci i po kolei przyzywa do siebie swoich najbliższych. Kiedy upewnia się że cała familia znalazła się przy nim, kupiec wykrztusuje ze zgrozą: A kto pilnuje interesu, do cholery! Wprawdzie Zbigniew Nienacki nie podstawia się pod żadnego z bohaterów cienkiej przypowieści, to jednak gra brakującą postać: roztropnego syna, który nie zważając na nadzwyczajne okoliczności, czuwa twardo nad kantorkiem, wszyscy u wezgłowia, a on jeden strzeże troskliwie dobytku. Można powiedzieć, że jego artykuł „Czy koniec teatru na pustyni" (Odgłosy, nr 22) zdradza właśnie tę roztropność. Przejęty do głębi swoją koncepcją teatru, rozdaje na prawo i lewo uderzenia, i z najlepszą wiarą zaleca środki ocalenia. Aż obawiam się, czy Zbigniew Nienacki pisał swój pamflet na łódzkie teatry kaduceuszem czy piórem. To zresztą nie istotne. Dość, że zamącił solidnie i poruszył umysły. To nawet lubię, bo stwarza

Dalszy ciąg na str. 2

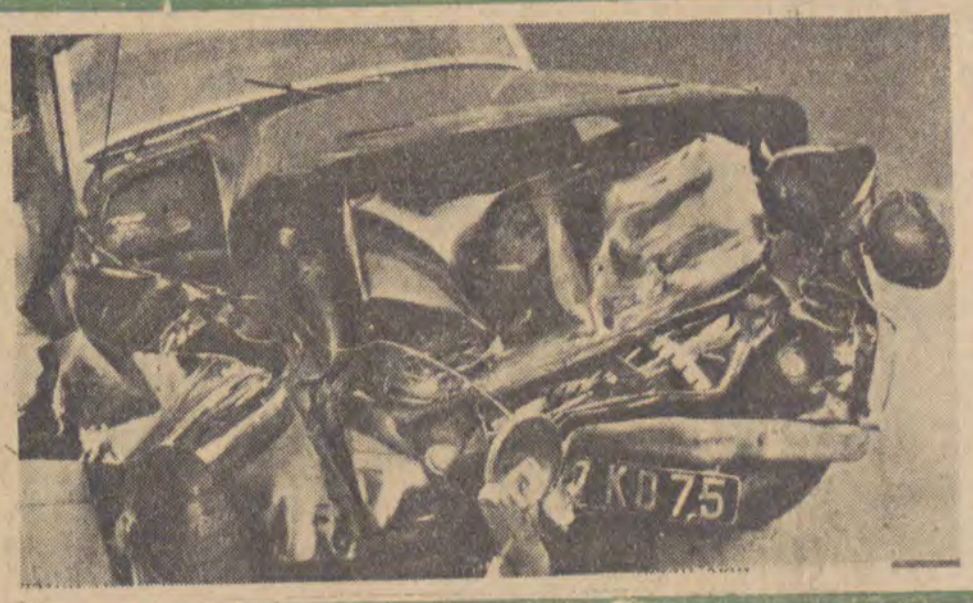

HENRYK CZARNECKI

LUDZIE za BURTĄ

„...gdy my spojżeli zwrot Kohanówek Boże tego każdy dobry moż doczeka za twoje umeblowanie pokój i wszystko za to cie zrobiła waryjata. Napisz mi czy doni pisać to i podziękóje i czy dobże pisać czy ją tak opieprzyć po polsku..."

Dr. Soszyńska — ordynator piątego oddziału przy Państwowym Szpitalu Psychiatrycznym w Kochanówce — wrzuca ten list do szuflady. Nie otrzyma go adresat. Pobożne życzenia jego siostry nie doczekają się, przynajmniej na razie, potwierdzenia zainteresowanego „waryjata". „Ofiara" niedobrej żony plucze teraz usta w alkoholu i pięć razy dziennie pochyla się nad celofanowym nocniczkiem, aby użalić się przed nim, że nie smakuje mu woda. Wraz z owym panem około trzydziestu współalkoholowych towarzyszy dzieli trudy przykrego zabiegu.

— Czy wierzy pani doktór w skuteczność tego rodzaju kuracji? — pytam towarzyszącą mi dr. Soszyńską.

— Chodzi o wytworzenie w nich odruchu warunkowego. O to, by zapachowi alkoholu towarzyszyła przykra czynność ostrych wymiotów. Po dwunastu dniach apomorfinowej kuracji wytwarza się swoisty wstręt do alkoholu.

Pytanie w zasadzie pozostawione bez odpowiedzi. Wspomniana kuracja, to prawie wszystko czym dysponuje dzisiejsza medycyna w leczeniu nałogowych pijaków. Wiele tego i niewiele. Reszta zależy od dobrej woli pacjenta. Od środowiska, które powinno mu pomóc w najtrudniejszym okresie. Od utrzymywania ścisłego kontaktu z poradnią antyalkoholową.

Ubieram się w biały kitel, otrzymuję specjalny klucz do otwierania drzwi bez klamek i wyruszam na poszukiwanie owej dobrej woli pacjentów. Pijackie natury skłonne są przecież do wynurzeń, a więc może uchwycę coś na reporterski ołówek...

Wczorajsi awanturnicy są dziś grzeczni. Dyscyplina szpitala pozbawiła ich resztek agresywności, zmęczeni kuracją odpoczywają cicho na swoich łóżkach. Nie ma w nich teraz zła. To tylko ludzie chorzy, słabi, potrzebujący pomocy. Nie. Nie mają pretensji do lekarzy i personelu. Żal mają jedynie do swych rodzin, które uczyniły z nich „waryjatów". Alkoholikiem z nich żaden przecież nie jest.

— To szwagier mnie tak urządził — mówi niedoszły lekarz. — Chodziło mu o sprawy majątkowe.

— Jest pan tu przecież z wyroku sądu — przypominam.

— A jaki sąd jest dziś sprawiedliwy?

Ascetyczny, z trzęsącymi się rękami młody człowiek, który wczoraj dopiero skończył atak delirium, mówi:

— To wszystko z nerw, panie redaktorze.

Ogrodnikowi D. przez siedem dni towarzyszył diabeł. Namawiał go do picia i samobójstwa.

— Jak pan uważa. Od czego to wszystko? — pytam.

— Chyba od schudnięcia. Dziesięć kilo mi ubyło.

A jeszcze inny.

— Ma się złych sąsiadów. Donieśli sądowi.

— A co donieśli, skoro pan nie pił?

— Czasem się i wypiło, ale alkoholikiem nie jestem.

„Z nerw" sprzedał jesionkę, beczkę kiszonej kapusty, buciki dziecka. Ale alkoholikiem nie jest, skądże?

Rozumiem teraz niepełną odpowiedź dr. Soszyńskiej na moje pytanie. Ci „pokrzywdzeni" ludzie nie zdają sobie sprawy z własnej tragedii. Uważają, że mimo wszystko nie są pijakami, więc czemu mają wyrzekać się nawet kropli wódki?

— Przywróceni społeczeństwu tym różnią się od innych — mówi dr. Soszyńska — że nie wolno im wypić ani przysłowiowego kieliszka. Jedynie ta świadomość może ich uratować.

Zdaje sobie z tego sprawę jeden z leczonych.

— Idąc na obiad wiedziałem, że wolno mi wypić najwyżej dwa, trzy kieliszki. Nikomu nie może zaszkodzić taka ilość. Niestety. Wypijam owe dwa kieliszki i ginie gdzieś poczucie niebezpieczeństwa. Zaczyna się od nowa. Dwa, trzy dni, czasem cztery.

— Pije pan również „do lustra"? — pytam.

Zgodnym chórem odpowiadają mi wszyscy, że przecież nie są alkoholikami. I pół roku mogą nie pić. Mogliby nie pić, gdyby nie koledzy.

— Za trzy tygodnie opuszczą panowie szpital — mówię. — A koledzy znów będą namawiać. Znów będą się mnożyć w czerwcu imieninowe okazje.

— Jana. W czerwcu jest Jana.

— Pana imieniny?

— Tak.

— Jak je pan spędzi?

— Zrobię małe przyjęcie.

— A co z wódką?

— Nie będzie. Postawię tylko wino. Jakże nie wypić za swoje zdrowie?

Tradycyjne, polskie powiedzonko. Hasło szeroko pojętej towarzyskości. Symbol serdeczności głupich

Dokończenie na str. 6

ODWOŁAĆ ALARM *dla łódzkiej* MELPOMENY

Dalszy ciąg ze str. 1

się jakiś ferment. Generalna teza jego artykułu brzmi mniej więcej tak. W naszych teatrach dzieje się niedobrze, ponieważ prowadzą niesłuszną politykę repertuarową. Szansa jest jedna: „sprofilować" czyli surowo przestrzegać zakresu i charakteru specjalności, a wreszcie dać prymat debiutu miejscowym pisarzom. Do tej sprawy jeszcze wrócę.

Przyznam się, że sam tok rozumowania, prawie że nie poparty dowodami, budzi z punktu szereg zastrzeżeń. Po pierwsze. Moim zdaniem fałszywe jest założenie początkowej tezy. Bardzo upraszczamy rolę i istotę teatru, jeżeli sprowadzamy go wyłącznie do zagadnień repertuarowych. Repertuar jest bezsprzecznie podstawą działalności tej instytucji, ale nie wyczerpuje to problematyki teatru. Mnie się wydaje, że w rozważaniach tego rodzaju nie wolno eliminować innych, równie ważnych elementów, takich jak aktorstwo, inscenizacja, reżyseria czy scenografia, które dopiero w sumie składają się na ów tak trudny, jak wiemy z praktyki, do opisania, wdzięk i siłę tej sztuki. Nie bądźmy naiwni i nie kruszmy stale kopii o każdą pozycję — odbiega od linii czy nie odbiega.

Teatr nie może być tylko szkołą obyczajów i wskaźnikiem nastrojów lub tendencji społeczno-politycznych, niech będzie coraz częściej szkołą namiętności i smaku. Raczej już zastanawiajmy się nad tym, jak się to tam robi i jak to tam wychodzi. Trzeba się powoływać na dalszą i bliższą historię, żeby pokazać czym teatr stał i często stoi? Proszę bardzo. W warszawskich Rozmaitościach w ostatnich dziesiątkach ub. w. gros repertuaru stanowiły błahe sztuczki salonowe, farsy i wodewile, a przecież wszyscy są zgodni, iż był to teatr nie lada. Nasz najlepszy teatr XIX—wieczny i częściowo XX—wieczny opierał się na aktorze, aktor i tylko aktor określał jego fascynującą wartość. A w ostatnich latach? No właśnie. W ostatnim okresie mieliśmy w Polsce, mimo kryzysu, zresztą chyba już tradycyjnego, współczesnej polskiej dramaturgii, znakomite przedstawienia. I również wszyscy podzielają tę opinię. Jeden przykładzik. Czy „Święto Winkelrieda" albo „Ciemności kryją ziemię" są gorsze od „Hamleta"? Raczej tak. A wyczarował z nich teatr blaski.

Poza teatrem „repertuarowym" jest jeszcze, dzięki Bogu, teatr aktora, teatr inscenizatora i teatr plastyka (ten ostatni nawet pojawia się dość często). Mówi się, z pokryciem w faktach, o polskiej scenografii jako jednej z najświetniejszych na świecie. Więc Zbigniew Nienacki demonstruje roztropność, ale szczególnego pokroju. Np. permanentnie zapomina, że zgłaszając pretensje do tej czy innej sztuki, nie wolno pojedyńczego nieporozumienia uogólniać i odnosić do całego repertuaru. Pars pro toto jest piękną figurą stylistyczną, ale w poezji. O przykłady łatwo. „Ucieczki" Sokorskiego wzburzyły krew naszych recenzentów, może szczególnie zirytowały właśnie Zbiegniewa Nienackiego. Nikt nie wie „co się komu w duszy gra", ale czy to nie one zachęciły go do zadęcia w surmy bojowe? Moi drodzy panowie! Osobiście nie znoszę tej muzy, ale trudno nie przyznać, że „Ucieczki" to dobry materiał dla aktora. Kto oglądał I. Machowskiego, J. Pilarskiego, M. Białobrzeską, B. Baera i S. Butryma, to na pewno zapamiętał tylko ich cienką robotę, ich aktorstwo, i nic więcej. Mein liebchen, was willst du noch mehr?

Zbigniew Nienacki zdaje się sugerować, iż mamy lepsze sztuki w Łodzi. Nie tylko wierzę mu ale i wiem. Ale lepsze nie zawsze znaczy dobre, to znaczy takie, które wytrzymują ciężką próbę kilkudziesięciu spektakli. Bardzo chciałbym oklaskiwać moich miłych znajomych, ale w tej chwili nie napisali jeszcze takich utworów. Walczmy o sztuki dobre w łódzkich teatrach, a nie o łódzkie. Łatwo w takich szrankach nabyć kompleksu zaścianka. To ku pamięci. Przed kilkoma tygodniami potykał się z Teatrem Powszechnym o „Skowronka" J. Anouilha recenzent o gołębiej duszy, M. Jagoszewski. Niby Anouilh nie bardzo odpowiada, bo nie dla tej publiczności. Oczywiście, znowu posłużył się podobnym chwytem co Zbigniew Nienacki: i ogłosił alarm dla tej sceny. Cóż za rozkoszne nieporozumienie! Przecież ten spektakl był am-

bitną pozycją w repertuarze, a nawet został przyrządzony bardzo „popularnie", z kolorową operetkowością, która zresztą zneutralizowała pikatną i błyskotliwą zaprawę francuskiego ironisty.

Wreszcie sprawa profilowego ustawiania teatrów. Mam wrażenie, iż ten postulat specjalizacji repertuarowej naszych scen dramatycznych jest potrosze wyważaniem otwartych drzwi. Przecież nie potrzeba domagać się tego, co już jest, co wynika z samej struktury teatru i jest uzależnione od indywidualności kierownika artystycznego, od potencjału aktorskiego, warunków technicznych itp. Każdy teatr definiuje siebie, ukazuje swą twarz i to bez żadnych nawoływań. To jest zresztą jedynie sensowna i normalna droga rozwoju każdego teatru. Czy u nas w Łodzi dokonał się ten „podział" funkcji i obowiązków? Myślę, że tak. Czy trzeba korygować profil tak okrzepłych w swych założeniach programowych i wyrazistych w codziennej działalności scen Teatru Nowego i Powszechnego? Chyba te sceny mają swój stały krąg odbiorców, a śmiem przypuszczać, iż proces niejako polaryzacji widzów przebiegł na zasadzie ich odrębności. Każdy, kto chodzi do teatru, wie o tym. Inna to już sprawa, iż teatry te nie rozszerzają swego oddziaływania i raczej ciągle obsługują tę samą publiczność. Ale teatry, zachowując swój dotychczasowy poziom i treść, nie zmienią tej sytuacji. Jest tu bowiem kryzys, jednak nie na scenie, a na widowni (O telewizjo, o „Paris sur glace!").

Warto zwrócić uwagę na ciekawie kształtującą się widownię Małej Sali Teatru Nowego. Pozostaje do zbadania, czy widoczne już formowanie się elitarnej (w najlepszym sensie słowa) grupy bywalców tej sali jest rezultatem atrakcyjności dawanego tam repertuaru czy też produktem innych okoliczności. Po kilku latach niezawinionego przez obecnych w Łodzi impasu, Teatr im. S. Jaracza pod kierownictwem Feliksa Żukowskiego zaczyna konsekwentnie wyprowadzać swoją własną koncepcję. Żeby coś więcej powiedzieć, trzeba po prostu poczekać.

Jeśli natomiast jakaś materia łódzko—teatralna poleca się do dyskusji, to już z pewnością Teatr 7.15. Ale i o tym zagadnieniu należy rozprawiać bez dźwięków syreny. Ten casus jest zaiste dziwny. Wiemy ponadto, że Janusz Kłosiński potrafiłby zmontować dobry teatr i że tym razem mu nie wyszło. Niezestrojony zespół, kiepskawe warunki techniczne, nieprzemyślany repertuar? Może to, może owo, może wszystko po trochu. Wydaje się, że nastąpiło tu ostre zderzenie zamierzeń i ambicji artystycznych Kłosińskiego z nawykami publiczności, która przychodziła na pięterko gwoli innych emocji niż te, jakie jej tu aplikowano w bieżącym sezonie. Kłosiński ma po prostu odmienny pogląd na teatr, i, co tu wiele gadać, lepszy smak niż stali bywalcy tej salki. Stąd jego kłopoty i z tegoż źródła pytania: czy Kłosiński musi przegrać to starcie czy powinien zrewidować swój program? Wielu uważa, że winien tu być reaktywowany teatr satyryków. Ja bardzo lubię satyrę, ale nie pojmuję, dlaczego musimy mieć zaraz teatr satyryków? Był przed kilku laty, i bodaj że większej chluby polskiej sztuce nie przysporzył. Czy dać mu okazję do rehabilitacji? Gdyby wyjść z założenia, że państwo i tak dopłaca do teatru, to można tu nawet urządzać wieczory poetyckie grafomanów.

Jestem natomiast przekonany, że trzeba wszystko robić, żeby teatr stał się rzeczywiście pilną potrzebą mas. Ci, którzy sądzą, iż precyzyjniejsze „unprofilowanie" (cóż za brzydkie verbum, przepraszam!) przyciągnie wszystkich tkaczy i robotników na widownię, grubo się mylą. Powinniśmy więc dyskutować nie nad repertuarem, lecz nad widownią. Ta strona rampy oczekuje od nas rzetelnej rozwagi i zastosowania wszelkich skutecznych środków ingerencji. Teatr masowy, o którym marzyli Bogusławski, Mickiewicz, Wyspiański i Schiller jeszcze się nie „zdarzył" mimo tak sprzyjających warunków. Dlatego odwołuję alarm z tamtej strony rampy i przenoszę syrenę na drugą stronę.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Niedawno oglądana B. B. w komedii „Babette idzie na wojnę" tym razem w okresie początkowym swej kariery w jednym z filmów reż. Vadima, swego ex-małżonka

MARIA KORNATOWSKA

ZE ŚWIATA FILMU

„Od pewnego czasu można zauważyć w różnych krajach świata i na różnych kontynentach ze wszech miar interesujące poczynania zmierzające do podważenia tradycyjnych kanonów dramaturgii i reżyserii filmowej. Zjawisko to przybrało już takie rozmiary, że śmiało możemy określić je mianem ruchu. O bliższe tego ruchu nie jest jednak jednolite. Co więcej w wielu krajach charakter jego nie jest wyraźnie skrystalizowany ani ujęty w jakiekolwiek ramy. Trudno nawet orzec iż jest on przejawem buntu młodego pokolenia gdyż np. we Francji czy we Włoszech orędownikami jego są twórcy, którzy dawno już przekroczyli granicę wieku balzakowskiego. Ruch ten jednak rozwija się nieustannie i zatacza coraz szersze kręgi.

Ostatnimi czasy dała o sobie znać także i awangarda (o ile wolno użyć tego słowa) amerykańska. Niezależny ruch filmowy skupia się w Nowym Jorku, akcentując już nawet tym faktem swoją antagonistyczną postawę w stosunku do Hollywoodu. Ruch ten obejmuje grono ludzi przeważnie młodych (np. Shirley Clarke liczy 16 lat), którzy na ogół nie znają się wzajemnie i działają całkowicie na własną rękę. W przeciwieństwie do reprezentantów francuskiej „nowej fali", nigdy przedtem nie stykali się z filmem ani praktycznie ani teoretycznie (z małymi wyjątkami jak choćby krytyk „Film Culture" — Jonas Mekas, lub twórca znanego u nas „Małego uciekiniera" — H. Enxgel). Ich znajomość sztuki filmowej jest w gruncie rzeczy dosyć ograniczona. Wkroczyli w szranki filmowe bez żadnych balastów i tradycji. Nie fascynuje ich technika filmowa. Film jest dla nich przede wszystkim środkiem prowokowania, podpatrywania i ujawniania życia. G. Moskowitz pisze, że istotę tego ruchu najlepiej dałoby się zamknąć w słowach: niezależność i improwizacja.

Improwizacja stała się rzeczywiście najszerzej pojętą metodą twórczą młodych filmowców amerykańskich. Interesującym osiągnięciem w tej dziedzinie jest niewątpliwie film „Shadows" zrealizowany w r. 1960 przez młodego aktora Johna Cassavetes. Film został nakręcony bez scenariusza i bez scenopisu. W oparciu o pewien bardzo ogólny zarys fabuły aktorzy improwizowali dialogi i poszczególne sceny. Również i praca operatora oparta była na zasadzie improwizacji na planie.

W normalnym filmie, wymagania techniki operatorskiej szalenie ograniczają aktora, do tego stopnia iż jak mówi sam Cassavetes: **„zaczyna on myśleć wyłącznie o światłach a nie o swoim partnerze lub partnerce w grze. W „Shadows" spróbowaliśmy zrobić coś całkowicie odmiennego. Improwizowaliśmy nie tylko dialogi ale i ruchy. I sam operator improwizował, określając jedynie światło ogólne i podporządkowując się aktorom. W ten sposób ci ostatni mieli pełną swobodę ruchów".** Ja nic nie wybierałem ani odrzucałem — pisze dalej Cassavetes — z wydarzeń jakie miały miejsce I te wydarzenia były tym naturalniejsze, że były realne. One nie wywodziły się ani ze mnie ani z pracy kamery. One wywodziły się z ludzi, którzy je tworzyli, ponieważ w życiu się żyje w każdym środowisku, w sztuce t w o r z y s i ę". Zasadnicza i prawdziwa różnica między „Shadows" a innymi filmami polega na tym, iż w innych filmach postacie wypływają z anegdoty, z fabuły, a mój film wypływa z samych postaci...

Akcja „Shadows" rozgrywa się w Nowym Jorku. Bohaterami filmu jest rodzeństwo murzyńskie, z którego tylko jeden brat ma zdecydowanie czarny kolor skóry. Natomiast Ben i Lelia mogą uchodzić za białych. Pochodzenie jest dla nich jednak źródłem kompleksów i nieustannych konfliktów z otoczeniem. Konflikty te wybuchają szczególnie mocno w momencie, gdy Lelia zakochuje się w „białym" chłopcu Tonym. Film Cassavetesa poza świetną rzeczywiście grą aktorów (którzy zachowali w filmie swe własne imiona) odznacza się również bardzo interesującą i nowoczesną oprawą muzyczną.

PRACA POŻYTECZNA *a* NIEDOCENIONA

Obok kinematografii fabularnej, którą chyba najlepiej znamy, istnieją w Polsce dwie kinematografie o których wspomina się od przypadku do przypadku. Na łamach naszej „Mieszanki filmowej" kilka numerów wstecz, zastanawialiśmy się nad dorobkiem i wielką wagą społeczną i polityczną filmów wyprodukowanych przez Wytwórnię Filmów Dokumentalnych w Warszawie.

Nie trzeba jednak tylko sięgać aż do Warszawy. Również w Łodzi oprócz Wytwórni Filmów Fabularnych istnieje tzw. „oświatówka" czyli Wytwórnia Filmów Oświatowych. Są w tej Wytwórni ludzie pracujący po kilkanaście lat, o których jednak nie mówi się i nie pisze tyle, co o ich kolegach z „Fabuły". Są wśród nich również operatorzy nie mniej świetni od swych kolegów z „Fabuły". Ich sztuka operatorska zyskuje wiele pochlebnych opinii poza granicami kraju.

Kazimierz Mucha należy do tych operatorów WFO, którzy pracują z nią prawie od czasów jej powstania. Nakręcił wiele tysięcy metrów taśmy filmowej. W tych tysiącach znalazły się filmy nagrodzone na festiwalach, zyskując bardzo pochlebne oceny krytyki filmowej, m. inn.: „Zamek w Łańcucie", „Wojna" Grottgera", „Spotkanie z Beskidem", „Bunt niemowląt". „Sybilla Puławska". „Kościół Mariacki", „Strzelno".

— Specjalizuje się Pan w filmach z dziedziny sztuki, — rozmawiamy z p. Muchą — Czy istnieje jakaś różnica w pracy operatora nad filmem np. etnograficznym i nad filmem o charakterze naukowym?

— Film etnograficzny jest przede wszystkim filmem rejestrującym pewną prawdę o jakiejś dziedzinie sztuki bądź to obyczaju. Nie można korzystać w takim wypadku z pełnej swobody w wykorzystaniu środków technicznych. W tego rodzaju filmie należy ograniczyć się do rzeczy jak najbardziej prostych i naturalnych, ażeby zbyt wymyślnymi ujęciami nie przesłonić eksponowanego tematu. Na przykład w filmie „Wesele łowickie" nie mogłem stosować jakiejś specjalnej kompozycji plastycznej kadru. Ludzie występujący przed kamerą nie mogli być ustawiani, krępowani zbyt filmowymi ujęciami. Sprawa tańca w tym filmie nie jest wygrana tylko dlatego, że etnografowie sugerowali nam jak najbardziej bierne zachowanie autentyku, utrwalenie tańca ludowego i pieśni takimi, jakie je można ujrzeć i usłyszeć na wsi bez jakiejkolwiek artystycznej stylizacji. Również w filmie naukowym np. z dziedziny medycyny czy fizyki operator musi uważać, ażeby elementy kompozycji plastycznej kadru (użycie tego czy innego oświetlenia) nie przeszkadzały w przekazaniu widzowi pewnego compendium wiedzy o temacie, którym dany film się zajmuje.

— Czy można wobec tego mówić o istnieniu własnego stylu u operatora filmów oświatowych?

— Najłatwiej ta sprawa uwidacznia się w filmach krajoznawczych lub też w filmach z dziedziny architektury gdzie konieczna jest duża inwencja operatorska, dobór odpowiedniego oświetlenia, odpowiedni ruch kamery. Czasami operator potrafi w swoich zdjęciach wyeksponować piękno budowli, czy rozwiązań architektonicznych na filmie o wiele piękniej niż to wygląda w rzeczywistości. Tak było na przykład z filmem o Ziemi Cieszyńskiej, po którego projekcji mieszkańcy Cieszyna oświadczyli, że ich miasto w filmie wygląda o wiele piękniej i okazalej niż na co dzień. Dla mnie osobiście najbardziej pasjonujące są filmy o architekturze, rzeźbie. Można tu użyć wielu sposobów oświetlenia, zastosować różne kąty widzenia kamery itd. W oświetleniu stosuję tzw. światło rysujące. Przy jego pomocy staram się ukazać rzeźbę czy fragment architektoniczny w takim oświetleniu, w jakim najprawdopodobniej widział go jego twórca. Bardzo ważną sprawą jest również konieczność wydobycia odpowiedniego nastroju. W filmie o „Zamku w Łańcucie" chciałem okazać powozownię hrabiego Potockiego z całą atmosferą jakiegoś śmietku, zapomnienia muzealnego. Chyba udało mi się wydobyć to, przez zaakcentowanie i podkreślenie pewnych szczegółów jak „Błyszczących kół", „Latarń" lub przy pomocy wydobycia szczegółów barwnych, np. czerwieni czy też czerni.

— Coraz częściej do kinematografii oświatowej wkracza film kolorowy. Co Pan, jako operator, sądzi o stosowaniu koloru w filmach krótkometrażowych?

— W tej chwili właściwie wszystkie kinematografie przestawiają się na technikę barwną, która okazuje się bardzo pomocnym elementem w wydobywaniu odpowiednich wartości strojów, budowli, czy krajobrazu. Istnieje jednak poważne niebezpieczeństwo wulgaryzacji kompozycji barwnej. Dlatego też trzeba jeszcze bardzo uważać na kolor i potrzebę jego zastosowania. Unikać należy złych wkrętów barwnych w kadrze, nie wszystkie bowiem kolory, na przykład z płócien malarskich, można oddać na barwnej taśmie filmowej. Bardzo więc jest ważna odpowiednia ekspozycja barwna filmowanego przedmiotu. Kolor jako taki nieodzowny jest we wszystkich filmach o malarstwie.

ROZMAWIAŁ:

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Gustaw Morcinek w filmie „Ziemia Cieszyńska"
Fot. K. Mucha

EWA SULIBORSKA

„Śmierć *na* klęczkach"

Kryminalna powieść w przeciągu ostatnich 50 lat zrobiła nie byle jaką karierę. Jej klasyka przeniesiona została na ekran, a współczesna dramaturgia i powieść korzysta ze sposobów i chwytów jej przynależnych. Kryminały zostały uznane i uświęcone. Nikt się nie wybrzydza i nikt nie odejmuje im wartości. Przeciwnie, zachwycamy się konstrukcją, celowością i logicznością zabiegów reżyserskich, mówimy o ambicjach artystycznych, o warsztacie, zdjęciach, aktorstwie prezentowanym przez te filmy.

W ramach tego uznania poznajemy kilkanaście filmów rocznie, roztrząsając ich wartość i znaczenie, przyznając Francuzom mistrzostwo w tym gatunku. Tym większe rozczarowanie przyniósł kolejny film Jean Dellanoy o komisarzu Maigret, jeden z serii filmów według Simenona. Po świetnej „Pułapce" oczekiwaliśmy jakiejś rewelacji. Niestety, „Śmierć na klęczkach" taką rewelacją nie jest. Nie wystarcza tym razem filmowi Jean Gabin, bo nawet znakomite aktorstwo nie może przysłonić wadliwej konstrukcji dramaturgicznej i braków scenariusza. „Śmierć na klęczkach" jest jak gdyby niedomyślana do końca. Wykorzystywane już zresztą w kinematografii „wszyscy są mordercami", „wszyscy są winni" rozwiązuje zagadkę śmierci markizy tylko pozornie, przenosząc ją w kategorie pseudofilozoficznych rozmyślań „o człowieku". Widz jest zawiedziony! Film nie spełnia podstawowego warunku, nie pokazuje sposobu dochodzenia do wykrycia zbrodniarza. Widz jest rozczarowany! „Wszyscy są mordercami", choć jednocześnie najbardziej winnym jest jeden z bohaterów.

Na nasuwające się tu pytanie, „dlaczego?" — film nie odpowiada. Widz jest zdenerwowany! Twórcy filmu wyraźnie się spieszą. Po długiej ekspozycji chcą rozwiązać zagadkę jak najszybciej. Komisarz Maigret wyjaśnia wobec tego przebieg zbrodni przy okrągłym stole, a bohaterem pozytywnym filmu nie wiadomo po co i dlaczego zostaje markiz — utracjusz. Coś tu nie jest w porządku.

PRZEZ PAKISTAN, INDIE i CEJLON

Dokończenie ze str. 1

„rfksz". Samochód mija się tu z wielbłądem, a traktor z parą garbatych wołów. Na chwilę ruch uliczny wstrzymuje stado klapouchych kóz i owiec z wielkimi narośla mi tłuszczu na zadach. Wszystko dzwoni, trąbi, ryczy, beczy, mało bębenki w uszach nie popękają.

Chodnikami lub skrajem szosy ciągną różnobarwne tłumy. Strój pakistańskiej biedoty jest dość „przewiewny" — ogranicza się często do kawałka tkaniny owiniętej dokoła bioder na kształt luźnych szarawarów czyli „dhoti" i drugiej szmaty związanej w turban na głowie. Różnią się od nich dokładnością stroju brodaci Persowie i niespokojni, rozgorączkowani Arabowie.

Kobiety muzułmańskie narzucają na głowy czarne lub białe chusty czyli „barka" okrywające szczelnie całą postać wraz z twarzą. Taki „wędrujący namiot" ma z przodu wycięty niewielki, prostokątny otwór zakryty nicianą kratką, spoza której błyskają tylko czarne oczy... Jakże pięknie i dostojnie prezentują się przy tych opatulonych postaciach Hinduski w swych barwnych „sari" podobnych do rzymskich tog. Ten piękny strój kobiecy dodaje im godności i wdzięku. Twarze mają odsłonięte, a na czołach każdej czerwieni się znak kastowy „kum-kum", świadczący, że nie wyzwoliły się jeszcze z tysięcy krępujących życie ograniczeń. Skazane na niewolnicze życie domowe, kobiety rzadko i tylko w towarzystwie swych ojców lub mężów ukazują się w miejscach publicznych. Place i targowiska należą więc niepodzielnie do mężczyzn.

W PAŃSTWIE DEMONA HANDLU

Wschodnim obyczajem handel, rzemiosło i wolne zawody wylegają gremialnie na ulicę: golibroda sadza klienta na krawężniku jezdni, by go ogolić i usunąć mu włosy z uszu i nozdrzy. Obok astrolog kreśli kredą horoskopy wprost na kamiennych płytach chodnika. Domorosły lekarz i aptekarz w jednej osobie ustawia buteleczki, słoiki, zioła i amulety na cembrowinie studni. Brodaty zaklinacz węży wysokimi tonami piszczałki stara się pobudzić do tańca ospałe kobry. Ascetyczny „święty" z twarzą umazaną popiołem wykrzykuje w ekstazie pobożne wersety. A „uczony w piśmie" rozkłada swe kałamarze, koperty i znaczki tuż pod skrzynką pocztową i uderza w nią dłonią, jak w bęben, by zawiadomić przechodniów, że za drobną opłatą napisze wszystko, co trzeba, od pozwu sądowego do listu miłosnego włącznie.

Cały ten rozkrzyczany tłum kotłujący się na ulicach i placach ogarnięty jest zbiorowym szaleństwem handlu. Na dobrą sprawę można by zaryzykować twierdzenie, że nie ma tu bezrobotnych, bo przecież każdy Pakistańczyk czymś handluje: kupuje, sprzedaje, pośredniczy, napędza klientów. Więcej w tym kraju handlarzy niż kupujących, to też drobny handel uliczny jest tu raczej namiętnością niż zawodem — narkotykiem, którym każdy stara się oszukać swoją nędzę...

Niemniej jednak targowisko dygoce nieustanną żądzą zarobku. Biada ci, cudzoziemcze, jeśli choć na chwilę przystaniesz przed którymś z tych ciemnych i ciasnych sklepików. Otoczą cię, wciągną do środka, zarzucą masą towarów dobytych z jakichś zakamarków i zanim się obejrzysz staniesz się „szczęśliwym" posiadaczem przedmiotów, których kupno nigdy by ci nie przyszło do głowy: jakiegoś wachlarza z sandałowego drzewa, trzcinki z kościanymi grabkami do drapania się po plecach, pałeczek kadzidła, które — jak twierdzi sprzedawca — znakomicie odstrasza moskity... Że co? Że na razie nie ma moskitów? Ale będą... Wmuszą ci jeszcze moskitierę i korkowy kask tropikalny, bo przecież każdy „sahib" powinien je mieć, choćby ich nigdy nie używał... Jedynym sposobem uniknięcia zbędnych zakupów, to nie zabierać ze sobą pieniędzy... Ale po co w takim razie wychodzić do miasta?...

ŁOWCY „BAKSZYSZU"

Osobny rozdział życia pakistańskiej ulicy to żebracy. Z każdego zaułka wypada na twoje spotkanie gromada obdartych dzieciaków, wyciągających natarczywie miseczki stulonych dłoni. Chwytają cię za odzież, szczypią po ramionach, plączą się pod nogami.

— No mama, no papa, hungry! Nie mam matki, ani ojca, jestem głodny... Ta monotonna, powtarzająca się w nieskończoność piosenka będzie nam towarzyszyć wszędzie, jak India długa i szeroka... Dzieciaki są przy tym doskonałymi aktorami i każdym gestem starają się wzbudzić w tobie litość. Jeśli nie masz serca z kamienia i dasz parę groszaków — przepadłeś z kretesem. Ze wszystkich stron zbiegnie się chmara wyrostków, którzy coraz natrętniej domagać się będą „bakszyszu". Zechcesz się jakoś wydostać z tej wrzeszczącej i szarpiącej cię na wszystkie strony gromady, obudzisz w nich jeszcze większą namiętność — wprost jakąś furię żebraczą. Może się wtedy zdarzyć, że zostaniesz podrapany, pobity, obdarty z ubrania. Jedyny ratunek dopaść taksówki i zmiatać, gdzie pieprz rośnie...

Oprócz żebrzących dzieci, ulice Karaczi roją się od dorosłych, zawodowych żebraków. Jest to istna wystawa kalectwa — potwornie powykręcane kończyny, ropiejące rany i wrzody, wszelkiego rodzaju choroby skórne do trądu włącznie — przekształcają pakistańską ulicę w gabinet okropności. Od tych widoków, oko ludzkie ucieka z odrazą i przerażeniem, a litość pełna jest wstydu, że takie rzeczy istnieją jeszcze na świecie.

W Indii błąka się, żebrząc po drogach i ulicach 600 tysięcy niewidomych, 250 tysięcy głuchoniemych, 150 tysięcy trędowatych (nie licząc osiedlonych w odosobnionych leprozoriach), i 120 tysięcy chorych umysłowo. Straszliwa to spuścizna po kolonialnych rządach Anglików, spuścizna, której rozwijająca się dopiero społeczna służba zdrowia nie jest jeszcze w stanie zaradzić.

CZTEREJ JEŹDŹCY APOKALIPSY

Wieczorem, gdy tempo interesów zamiera, chodniki uliczne i wnęki domów pokrywają ciała śpiących pokotem ludzi. A kiedy sen ogarnie już

Żebrzące dzieci na ulicach Karaczi

wszystkie ulice i place, można w ciszy nocnej usłyszeć klekot kopyt czterech Jeźdźców Apokalipsy, którzy ciągle jeszcze błąkają się po drogach i bezdrożach Indii.

Pierwszy z nich to sprawca walk bratobójczych, które poprzedziły podział Indii.

Od wielu wieków żyły w Indii obok siebie w zgodzie i tolerancji różne religie i nikt nie słyszał nigdy o prześladowaniach. Dopiero Anglicy, czując, że pod naporem potężnych ruchów wolnościowych zaczynają tracić w Indii grunt pod nogami i chcąc ratować się wypróbowaną kolonialną metodą „dziel i rządź" — zdołali skłócić ze sobą wyznawców dwóch najliczniej reprezentowanych religii — hindusów i muzułmanów. Udało im się doprowadzić do masowych morderstw, grabieży, gwałtów i rozlewu krwi; tak osiągnęli zamierzony cel: podział Indii na dwa sztuczne i wrogo do siebie nastrojone twory państwowe: Unię Indyjską i Pakistan.

Jeździec drugi, nie mniej ponury, to Głód. India leży w strefie monsunów i coroczne zbiory w tym rolniczym kraju uzależnione są całkowicie od cyklicznych zmian suchych i mokrych pór roku. Każde zakłócenie tych zmian i opóźnienie się pory deszczowej wywołuje posuchę, nieurodzaj i masowy głód. Za czasów kolonialnych klęski głodowe powodowały śmierć milionów ludzi. Obecnie rządy centralne i stanowe organizują w takich wypadkach doraźną pomoc i rzucają do zagrożonych okręgów rezerwy żywnościowe. Mimo to jeszcze obecnie zdarzają się czasem lokalne „marsze głodowe", w czasie których ludzie umierają, jak muchy....

Trzeci jeździec — Mór — znany jest w Indii od niepamiętnych czasów. Epidemie tyfusu, cholery, dżumy i malarii nie wygasają nigdy na Półwyspie Indyjskim i zagarniają co roku ponad 2 miliony ofiar. Co dziesiąte dziecko umiera przy porodzie, a przeciętny wiek Indusa nie przekracza 32 lat życia. Jednocześnie jedno łóżko szpitalne wypada na 5.000 mieszkańców, zaś wydatki na służbę zdrowia wynoszą rocznie na głowę mieszkańca tyle, ile kosztuje parę proszków chininy.

Czwartym jeźdźcem indyjskiej Apokalipsy jest analfabetyzm. Zaledwie 16% ludności tego kraju umie czytać i pisać. Młoda, formująca się dopiero postępowa inteligencja indyjska, stanowi wciąż jeszcze znikomy procent 400-milionowego narodu. Ciemnota i zacofanie jest tu smutną pozostałością stuletniej niewoli kolonialnej.

BASTION IMPERIALIZMU

Niewielka mapka krajów Środkowego Wschodu, którą znalazłem w jednym z wydawnictw propagandowych dla turystów i cudzoziemców, wyjaśnia całkowicie istotny cel podziału Indii na Pakistan i Unię Indyjską. Chodziło o stworzenie pasa baz wojskowych, wzdłuż granicy Związku Radzieckiego: pasa krajów Paktu Bagdackiego (Turcja, Irak, Iran, Pakistan) oraz krajów SEATO (Pakistan, Syjam, Filipiny). Klamrą spinającą miał być Kaszmir, o który Pakistan toczył zaciekły spór z Unią Indyjską, oraz nieprzebyty łańcuch Himalajów, za którymi rozciągał się wówczas jeszcze proamerykański Tybet. I pomyśleć — mała mapka, a tak jasno i przystępnie wyjaśniono na niej wszystkie zasady imperialistycznej polityki na Południowym Wschodzie...

Wschód, a szczególnie Pakistan, jest krajem jaskrawych kontrastów. W czasie wędrówki przez najuboższe dzielnice Karaczi natknąłem się na samochód z grubo złoconą karoserią, który trąbiąc przeraźliwie, przedzierał się przez zatłoczoną uliczkę. Wewnątrz rozpierał się niedbale otyły jegomość ubrany w jedwabie i obwieszony biżuterią — jeden z miejscowych nababów. Zdarza się czasem, że na taki samochód posypią się kamienie lub tłum czasem zagrodzi mu drogę domagając się pieniędzy. Ale wtedy zjawia się natychmiast oddział policji, który kolbami karabinów i gumowymi pałkami toruje drogę bogaczowi...

Zwiedziłem również nadmorską dzielnicę Karaczi — Clifton, zamieszkałą przez potentatów finansowych, arystokrację muzułmańską oraz ich europejskich mocodawców. Tu, z dala od zgiełku bazarów i ciasnych, cuchnących uliczek, w nowoczesnych willach i wymyślnych maurytańskich pałacykach drzemiących wśród palm i ogrodów, płynie beztrosko i jeniwie życie kolonialnych bogaczy i feudałów.

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

KAROL OBIDNIAK

O TEATR

Repertuar łódzkich teatrów jest co najmniej zastanawiający. Zwykły widz pojąć nie może przyczyn, dla których krzywa poziomu artystycznego ulega tak gwałtownym wahaniom. Oszołomiony z trudem stara się określić swój stosunek do teatru sypiącego niespodziankami. Odwiedza go coraz rzadziej, bowiem coraz częściej wychodzi rozczarowany, niekiedy nawet upokorzony. Nie wie, że dla twórców i dyrektorów teatru współczesnego w jakiś dziwny sposób widz zdematerializował się. Stał się anonimowy, masowy, statystyczny, nijaki! Ten nowy, mistyczny widz jest oczywiście teatrowi potrzebny, ale wyłącznie po to, żeby skonsumował to, co zostanie mu podane, by zapewnił wykonanie planu finansowego i frekwencyjnego. Powstała paradoksalna sytuacja. Widz który współtworzy teatr i stanowi o jego życiu — nie liczy się jako partner. A przecież teatr bez swojej widowni, choćby przyświecały mu najwznioślejsze idee jest w moim pojęciu teatrem złym, martwym, bezużytecznym.

W Paryżu działa ponad 50 teatrów. Prawie 50 w Londynie. Liczba ta wyda się naszemu czytelnikowi zawrotna, proszę jednak podzielić ją przez ilość mieszkańców, okaże się wówczas, że Łódź nie ustępuje pod tym względem pysznym metropoliom. Wspominam o tym, by zwrócić uwagę na zjawisko bardzo ciekawe. Czterdzieści parę teatrów paryskich i tyleż londyńskich gra wyłącznie sztuki współczesne. Współczesne! Teatry te są samowystarczalne, ba muszą dać pewien dochód. I dają go. Czemu więc zawdzięczają cud samodzielnego życia?

Otóż żaden dyrektor teatru na Zachodzie nie pozwoli sobie na luksus zlekceważenia widowni. Widz decyduje o życiu teatru; jego wrażenia, pragnienia, opinie decydują o wyborze sztuki, a nawet o jej kształcie scenicznym.

Współczesna twórczość awangardowa stara się znaleźć najkrótszą, najprostszą drogę do widza aby najpełniej odpowiedzieć na niesprecyzowane przecież bliżej zamówienie widowni na współczesną problematykę. Awangarda twórcza rodzi się więc nie w jakimś cudownym odosobnieniu, w oderwaniu od potrzeb, ale stara się te potrzeby w sposób najdoskonalszy zaspokoić. Dzięki tej symbiozie z widzem mamy do czynienia z organizmem niezwykle żywotnym, teatrem, który swoje potrzeby, ambicje i cele łączy nierozerwalnie z potrzebami SWOJEJ widowni.

Tymczasem u nas niektórzy dyrektorzy teatrów układają repertuar myślą przede wszystkim o swoich ambicjach, o tym w jaki sposób niezwykłym fajerwerkiem zaskoczyć krytyka i teatrologa. I ściśle pod tym kątem układają repertuar. Nie ponoszą żadnej odpowiedzialności finansowej ani moralnej. Dyrektor wybiera więc jedną, ewentualnie dwie pozycje „bombowe" dla siebie, najchętniej zagraniczne, prapremiery, w najgorszym razie coś z wielkiej klasyki, koniecznie dawno nie granej. Dla siebie rezerwuje najlepszą obsadę. Pozostałe pozycje ustala pod kątem kasy, frekwencji, byle jak, byle pełno było na widowni. O teatrze, o jego dyrektorskiej działalności świadczyć ma ta jedna, ewentualnie dwie pozycje zrobione przez niego. Dziesięć pozostałych premier stanowi uciążliwy margines dyrektorskiej działalności.

To proste w zasadzie założenie ma inne doskonałe zalety. Stanowi gwarancję dla dyrektora, że nikt nie zrobi przedstawienia lepszego od niego, tym samym pozwoli na przedłużenie kontraktu, odsunie w cień ewentualnych rywali. Pozwoli mu samoistnie błyszczeć w aureoli niezastąpionego, jedynego, wielkiego twórcy. Zatem nie wzgląd na publiczność i jej potrzeby dyktuje dyrektorowi politykę repertuarową, ale prywatne interesy i interesiki. Tego rodzaju prywata jest w sztuce szczególnie obrzydliwa. Zespół angażuje on nie pod kątem przydatności w teatrze, a pod kątem interesów dyrekcji. Musi to być nie tyle dobry aktor, ile swój człowiek. Człowiek, który zgodzi się na wszystko, będzie milczał i głośno wyrażał swoje zadowolenie.

Ci, którzy mają sądzić i oceniać — zostali już dawno zastraszeni przez demona nowoczesności (czytaj inscenizatora). Wystarczy magiczne słowo „nowoczesny", by z miejsca uciąć wszelką dyskusję na temat celowości wystawiania najbardziej niepotrzebnej, a czasami nawet szkodliwej pozycji, albowiem niestety i takie bywają. Tak oto niepostrzeżenie z teatru wielkiego miasta robi się teatrzyk prowincjonalny, charakteryzujący się tym właśnie, że cały wysiłek artystyczny i finansowy skupia na jednej, ewentualnie dwóch pozycjach, pozostałe traktując z racji rozlicznych trudności z mniejszą troską i pieczołowitością.

Drugim Wielkim teatru jest scenograf. Niekiedy ważniejszy od inscenizatora. Ale ponieważ razem mają mamić widownię, dawno już ogłosili zawieszenie broni, połączyli swe cele, ograniczyli rolę teatru do świetlnej igraszki szafy mechanicznej pełnej różnych „achów" i „ochów" oraz kilku nierozwiązalnych rebusów.

Aktor więc w takim układzie sił staje się zbędny, przeszkadza swoją indywidualnością, zakłóca ustalone z góry proporcje, rozkojarza widza, który powinien podziwiać przede wszystkim inscenizatora. Aktor, widz, autor — to co dotychczas stanowiło istotę teatru — stało się marginesem naszego życia teatralnego. Widz w teatrze polskim coraz rzadziej obcuje z aktorem, autorem, a coraz częściej z p. X czy Y, którzy pouczają go w sposób nachalny o sobie, swoich ambicjach i problemach. Czarują swoim światkiem, który w monstrualnej zarozumiałości nazywają całym światem.

Teatry Łodzi można podzielić właściwie na dwie grupy: Teatr Nowy, który rozwijając się, niepostrzeżenie z Teatru Nowego stał się Teatrem Narodowym. Wydaje mi się, że trudno go z tej drogi zawrócić. Jest to naturalny rozwój teatru i kierownika artystycznego, nie ustających w poszukiwaniach. Repertuar więc Dużej Sceny nie budzi we mnie większych sprzeciwów. Przedstawienia na Dużej Scenie nie odbiegają od poziomu artystycznego charakteryzującego ten teatr. Wystawia to teatrowi na ogół dobre świadectwo. Dyskusyjna jest natomiast linia repertuarowa Małej Sceny. Scena ta powinna stać się niejako laboratorium współczesnej dramaturgii. Tutaj właśnie, małym nakładem kosztów, powinny rodzić się polskie prapremiery. Po konfrontacji z widownią można je przecież przenieść na Dużą Scenę, można roz-

JERZY WILMAŃSKI

CYRK - GODZ. 12

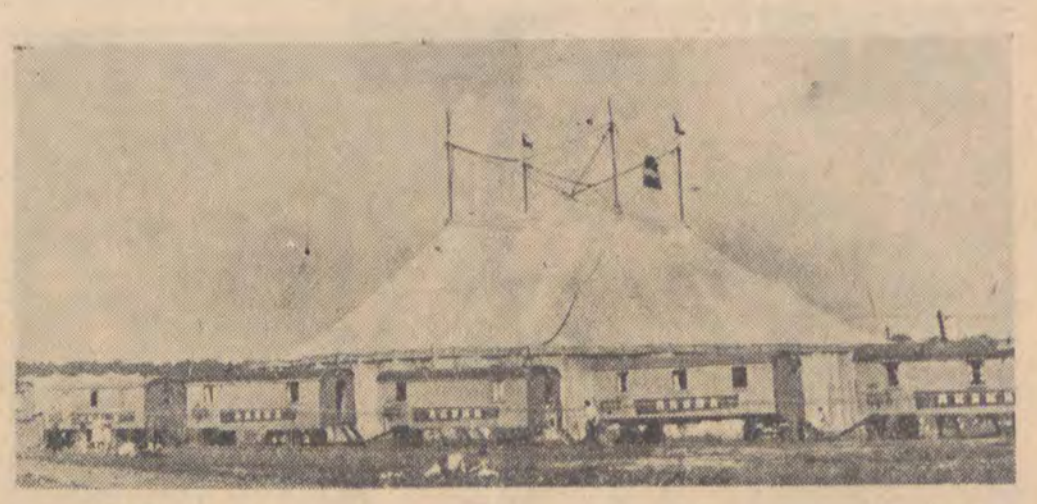

Cyrk to egzotyka. Cygańskie życie, kolorowe wozy, urok przygody... A w gruncie rzeczy — jest to przecież naprawdę ciężka praca, nieustanne ćwiczenie, bez przerwy, bez wytchnienia — spektakl za spektaklem, gdzie nie wolno popełnić najmniejszego błędu. W cyrku nie ma suflerów. Źle uchwycona pałeczka żonglera spadnie nieuchronnie na piasek areny.

Cyrk? — intelektualista skrzywi się z niesmakiem, fi donc, cóż to za pospolita rozrywka? Można ją i tak nazwać. W każdym bądź razie fakt, że codziennie przewija się przez cyrkowy chapiteau 2-4.000 ludzi o czymś świadczy. W tym samym czasie świetnie wentylowane sale teatralne świecą pustką.

Cyrk obok kina jest dziś (było tak zresztą chyba zawsze) najbardziej pożądaną przez masowego odbiorcę rozrywką. Cyrk urzeka. Tu nie ma lipy, tu nie ma gry, tu jest wszystko serio. Zły aktor może grać od biedy Hamleta przez dziesiątki spektakli — zły ekwilibrysta spadnie z trapezu za pierwszym razem i połamie sobie kości... Cyrk jest bardziej rzetelny. Może to właśnie jedna z przyczyn powodzenia sztuki (intelektualista znów się skrzywi) cyrkowej.

A sztuka to naprawdę stara. Kto wie czy nie byłoby słuszne rozpocząć ten felieton utartym zwrotem „Już starożytni...". Polacy jednak nie mogą się szczycić specjalnie dużymi tradycjami w tej dziedzinie. Znane polskie rody cyrkowe biorą swój początek dopiero gdzieś w końcu XIX wieku. Przedtem polską publiczność bawili artyści włoscy, francuscy, angielscy.

Oto, jak wyglądała reklama angielskiego cyrku występującego w Warszawie w 1792 roku: „Pani z Massonów Price jeździć będzie na dwu koniach w wielkim galopie, postawi na obręczy szklankę pełną wina i szybko nią horyzontalnie obracać będzie bez rozlania najmniejszej kropli".

Potem w początkach XIX wieku odwiedzał Polskę „Cyrk Letni" Scypiona Ciniselli — demonstrujący „wielką sensacyjną pantominę wodną dawaną z wielkim powodzeniem dwieście razy w Paryżu".

Znany przed wojną komik i akrobata Stanisław Sokołowski ożenił się właśnie z panną Ciniselli także artystką cyrkową, wnuczką dyrektora owego „Cyrku Letniego". Nic to dziwnego. Jak twierdzi p. Biernacka z cyrku „Arena" małżeństwa pomiędzy cyrkowcami są regułą raczej bez wyjątku. Również dzieci zostają zazwyczaj przy zawodzie rodziców i z nich właśnie jest największa pociecha na arenie.

Istnieje co prawda pod Warszawą Studium Sztuki Cyrkowej, ale po pierwsze przyjmuje się tam kandydatów dopiero od lat szesnastu, więc dzieci artystów cyrkowych ćwiczące już od najmłodszych lat mają nad innymi zdecydowaną przewagę, a po drugie wszystkie tajniki zawodu artysta przekaże przecież najchętniej i najpełniej swojemu własnemu dziecku.

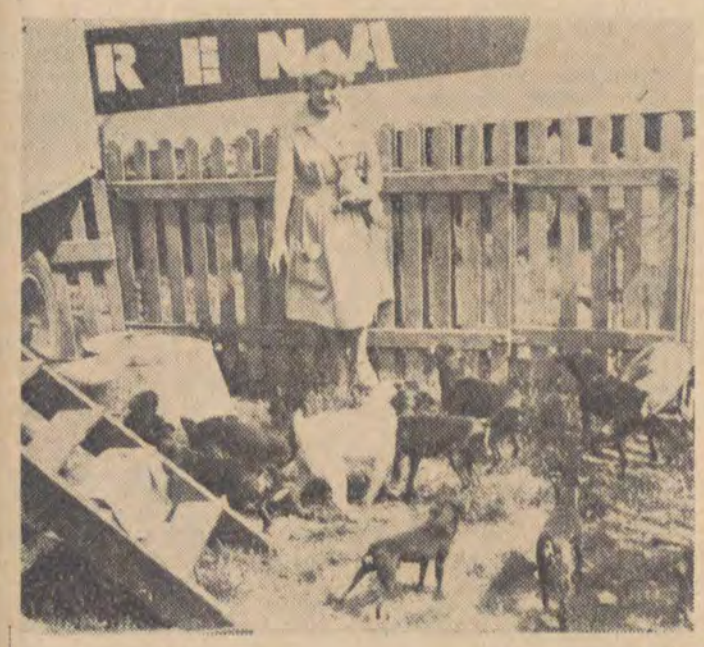

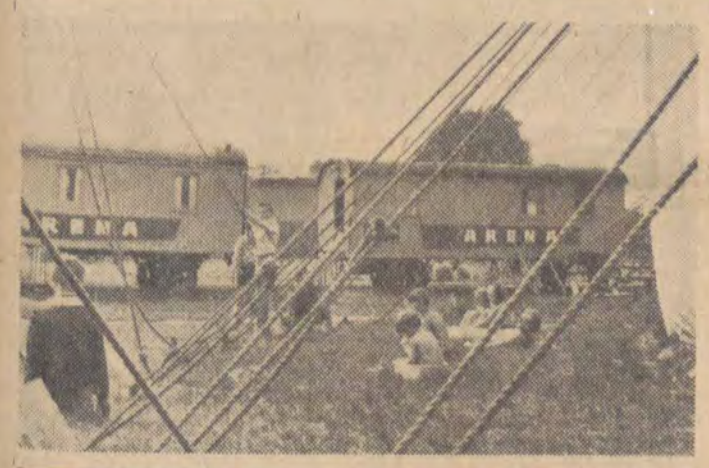

Właśnie niedawno odbył się w cyrku „Arena" debiut córeczki tresera koni — ośmioletniej Ewuni Nowotnej. Możemy sobie wyobrazić, jak wcześnie mała Ewa musiała rozpocząć ćwiczenia jeśli dziś z taką rutyną i pewnością siebie balansuje na rękach ojca stojącego na cwałującym koniu.

Zdajemy sobie sprawę, że truizmem z pewnością jest stwierdzenie, że praca artysty cyrkowego jest ciężka. Ale cóż robić, kiedy tak jest naprawdę, a nie wszyscy o tym wiedzą. Ciężka jest droga do poznania tajemnic zawodu, ciężka praca od której nie ma urlopu. Artysta cyrkowy niezależnie od tego czy aktualnie występuje czy nie, musi bezustannie ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć. Nie wolno mu nawet na tydzień zapomnieć o swoim zawodzie.

Zdarzają się wypadki porzucania cyrku. Z zupełnie nie znanych przyczyn porzucił arenę w roku 1930 znakomity iluzjonista i parodysta (parodiował wspólnie z Wacławem Wysockim znaną duńską parę Pata i Patachona) — Alfred Janiszewski. Słynny „Biały Clown" Din Don wymienia również w swoich pamiętnikach Tadeusza Sutta jak wiadomo obecnie dyrektora łódzkiej Estrady. Jeśli idzie o łodzian związanych z areną to również trzeba wymienić p. Piotra Michalskiego dyrektora występującego obecnie w Łodzi cyrku.

Jego różnojęzyczny zespół nie odpoczywał w czasie zimowych miesięcy. Powędrował za słońcem do Rumunii. Wrócił natomiast w kwietniu w składzie jeszcze bardziej międzynarodowym. W zespole występują bowiem Czesi, Rumuni, Jugosławianie. Dziewięć groźnych lwów też nie posiada polskiego obywatelstwa. Rozumieją wyłącznie po rumuńsku.

Była z tym zresztą kiedyś niemała bieda. Otóż w Opolu taki rumuński lew postanowił opuścić klatkę. Zamiar, o dziwo, całkowicie mu się udał. Ponieważ opodal znajdowało się targowisko, na którym wśród tłumów ludzi nie znalazł się nikt władający językiem zwierzaka — lew się nieco zdenerwował. Świadkowie twierdzą jednak, że ludzie bardziej. Cały personel gonił wtedy niezdyscyplinowanego „członka zespołu" (było to rano) w bardziej lub mniej skąpych negliżach. Całe zajście skończyło się zresztą tylko na strachu.

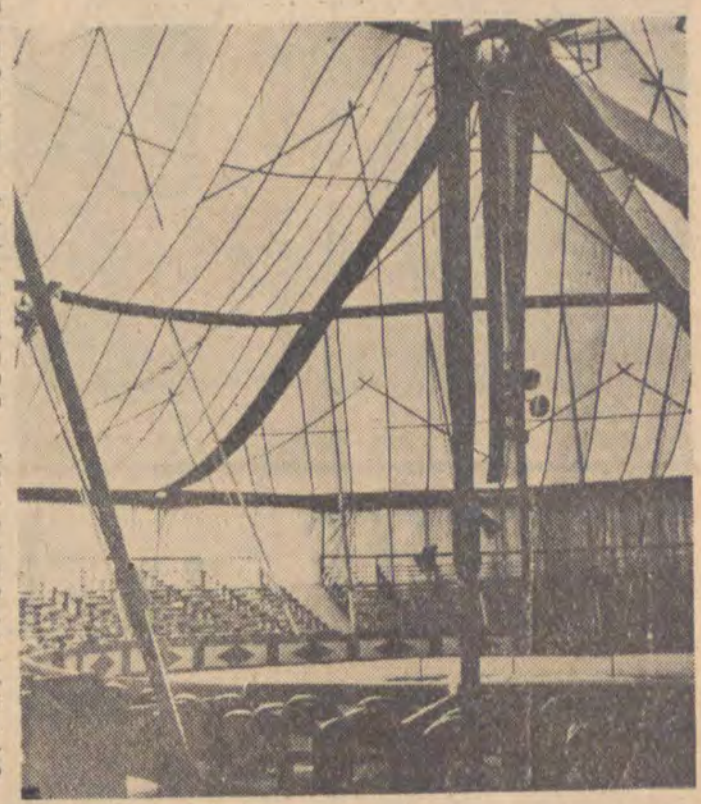

Ale wróćmy do tytułu. Dlaczego „Cyrk godz. 12"? No cóż, wszyscy oglądacie cyrk wieczorem, w światłach, tuszu orkiestry, w szmince.

My zaś chcieliśmy pokazać wam cyrk od innej strony. Bez fanfar, różu i jupiterów. Cyrk jakiego nie znacie. Cyrk niejako od kuchni, o dwunastej w południe kiedy pod namiotem cyrkowym panuje jeszcze cisza.

Zdjęcia
E. Kudaj

dla WIDZA

Powszechnić w innych teatrach polskich. Uczynić z tej sceny świadomie kuźnię współczesnej dramaturgii.

Proszę zwrócić uwagę, że od czasu istnienia Łodzi nie było takiego urodzaju na dramaturgów. Potrzebna jest im scena, pomoc, dyskusje, konfrontacja z widownią. Potrzebna jest wreszcie fachowa krytyka ludzi teatru. Młody polski dramaturg rośnie dziko, bez opieki. Jeśli nawet wystawi sztukę to jeszcze o niczym to nie świadczy. Nauki, jakie mógłby z tego faktu czerpać pozostają znikome. A przecież dramaturgia wymaga nie tylko zdolności, odrębnego rodzaju talentu, ale przede wszystkim znajomości teatru, instynktownego wyczucia aktora i widza, to trzeba sprawdzić, skonfrontować. Autor musi wiedzieć czy kroczy właściwą drogą, czy czyni postępy. Kto ma mu o tym powiedzieć?

Odrzuca się sztukę, mówiąc „ma pan zadatki, dwie sceny dobre, niech pan pisze". Biedny autor pisze nową sztukę i znów historia się powtarza. Trzeba heroizmu żeby spróbować raz jeszcze, wreszcie zniechęcony daje za wygraną. Tymczasem w Związku Radzieckim, w Ameryce, w NRF są kursy dla dramaturgów. Uczestniczą w nich najwybitniejsi krytycy, reżyserzy, teatrolodzy. Objaśniają, tłumaczą, zadają wypracowania, cierpliwie wdrażają w tajniki trudnej do opanowania techniki sztuki dramatrugicznej. Nie czekają na samorodne, genialne talenty. Wychodzą im na spotkanie. Nic dziwnego, że rezultaty przeszły wszelkie oczekiwania. Czyżby więc w Łodzi nie udało się stworzyć jedynego w Polsce teatru-laboratorium, ośrodka współczesnej dramaturgii, w oparciu o tania w eksploatacji Małą Scenę Teatru Nowego? Jeśli Teatr Nowy stał się dzięki swemu rozwojowi Teatrem Narodowym, to czyż nie stać go na kultywowanie Nowego w cieniu wielkiej sceny niejako przez sentyment do własnych narodzin?

Ujęcie szaleńców — bo tak ich trzeba nazwać — piszących dla teatru w jakieś ramy organizacyjne może wywołać oddźwięk, spowodować rezultaty przekraczające wszelkie obliczenia. Teatr taki w oparciu o łódzkie środowisko może być naprawdę kontynuacją Nowego, w Teatrze Nowym. Warto chyba poświęcić temu zagadnieniu więcej czasu, tylko bowiem z konkretnych wysiłków narodzić się mogą konkretne wartości.

Teatr im. Jaracza wyraźnie określił swoje zadanie. Stara się połączyć klasykę z wymogami dnia dzisiejszego. Stara się być teatrem zaangażowanym, o dość konsekwentnie sprecyzowanej działalności. Rozbicie zespołu spowodowało chwilowe trudności. Wierzymy jednak, że trudności te przezwyciężą dzięki tradycji i próbom zaangażowania się we współczesność.

Największe zastrzeżenia budzi działalność Teatru Powszechnego i „7.15". Zawód, rozczarowanie towarzyszą ostatnio każdej premierze obu teatrów. „Powszechny" — już sama nazwa budzi wątpliwości i staje się powodem nieporozumień. Cóż bowiem oznacza? Łatwy, dostępny, zrozumiały dla każdego teatr dla mas? Ale przecież to nic nie znaczy. Niczego nie mówi. To właśnie ten mistyczny widz, niby taki. Wydaje mi się, że tu właśnie tkwi sedno nieporozumień. Powszechny, popularyzujący, ale co popularyzujący? Nowinki, ciekawostki?

To prawda, że Teatr Powszechny ma największą ilość prapremier, tym się szczyci. Ale czy słusznie? Czy tego się po nim spodziewamy? Nazwa teatru nie może służyć za parawan, nie powinna prowadzić do dowolnej interpretacji zadań, dowolnego wyboru sztuki. Niestety, dyskusja o nazwie teatru do niczego nie doprowadzi. Trzeba zapytać wprost dla kogo Teatr Powszechny gra. Dla jakiego widza? Czy przypadkiem nie dla szarego człowieka? I dlatego właśnie nazywa się powszechnym. Nazwa teatru, jego działalność nie da się oddzielić od widowni, która go odwiedza po PREMIERZE. I ta widownia powinna świadczyć o repertuarze, o teatrze i odwrotnie.

Tylko w powiązaniu z widzem możemy rozpatrywać repertuar teatru. W takim razie „Skowronek", „Fantazy" szczególnie w takiej koncepcji w jakiej je oglądaliśmy nie powinny być grane w Teatrze Powszechnym, a w Teatrze im. Jaracza, wodewil zaś winien się znaleźć w „7.15". Dopiero teraz widzimy jak błednie planuje się repertuar. Tworzą go teatry sobie, a dyrektorom, zapominając o SWOJEJ widowni. Zapominając, dla kogo grają.

Niestety, obu tym teatrom brak jest ideowości, o nic nie walczą, niczego nie reprezentują i to nas drażni. Żyją od premiery do premiery. Bez oblicza, bez swojej widowni. Są teatrami niepotrzebnymi w takiej formie w jakiej istnieją. Trzeba więc ściśle określić dla kogo mają grać, a dopiero potem co grać. Poskramiać niewyżyte ambicje, zmusić kierowników artystycznych do zespolenia osobistych ambicji z potrzebami widza, nie pozwolić na traktowanie widza jak Zulusa, którego można nabierać na świecidełka.

„Teatr 7.15" popełnia te same błędy co Teatr Powszechny. Lecz jego sytuacja jest znacznie gorsza. Czegóż się bowiem po nim spodziewamy? Satyry, komedii muzycznej, farsy? Warszawski Teatr Satyry próbuje czy już gra „Słomkowy kapelusz", bo zabrakło tekstów na program w Warszawie. A skąd brać je w Łodzi? Komedia muzyczna? Otóż współczesnej komedii muzycznej nie ma. Można adaptować stare ale po co. Bez zaplecza, bez miejsca na scenie, bez swojej pracowni, bez miejsca dla muzyków tworzyć teatr na wpół muzyczny wydaje mi się szaleństwem. Farsa — współczesnej nie ma. Grać dziewiętnastowieczną? Dla kogo i po co? „Teatr 7.15" nadaje się wyłącznie na teatr kameralny. Teatr małych form, teatr aktora. W tym teatrze nigdy nie da się wystawić porządnie żadnego wodewilu.

Jeśli już taki teatr jest w Łodzi potrzebny, przenieść go na Dużą Scenę Teatru Powszechnego, który ma po temu odpowiednie warunki, a tu stworzyć skromny teatr aktora małych form, kameralny.

Tymczasem częstuje się nas bombastyczną „Śpiewogrą" i flozoficznym, rozdętym Tarielkinem. Bez ładu i składu. Dla kogo jedno, dla kogo drugie? Przecież widz, który oglądał „Śpiewogrę" nie przyjdzie na Tarielkina. To chyba jasne. Teatr Powszechny próbuje „Tramwaj, zwany pożądaniem" wraz z „Ich dwoje" Niewiarowicza. Dla kogo jedno, dla kogo drugie? A może w ogóle nie o widownię chodzi, a o coś zupełnie innego? A przecież dobry teatr ma widza, który odwiedza każde nowe przedstawienie tego teatru. Dlaczego więc teatry zniechęcają swoimi ambicyjkami ludzi od chodzenia do teatru? Dość gigantomanii. To przecież okropne wmawiać widzowi, że sztuka świetlicowa przyprawiona taneczkami jest wydarzeniem artystycznym, że zwyczajna farsa „Archaniołowie" to wielka filozofia — metafora. Więcej skromności! Chciałoby się krzyczeć: więcej skromności! Nie czarujcie nas panowie!

Alek Guinness w filmie „Jak zabić starszą panią?"

LUDZIE za BURTĄ

Dokończenie ze str. 2

przyjaciół... „Twoje zdrowie"... „Daj nam Boże" — odpowiada się wznosząc kieliszek. „Zdrowie pana Jana po raz pierwszy"...

Pan Jan jest tu już po raz drugi. Dwóch jego sąsiadów po kilkudniowym pobycie przeszło na oddział psychiatryczny. Alkohol skrzywił ich psychikę. Ciekawe czy zjawi się jeszcze ogrodnikowi diabeł? Może na stałe wmieszka mu się w życie i na jego rozkaz ogrodnik rzeczywiście się powiesi? A może wyskoczy oknem przed nawalnicą białych myszek?

Tylko jeden z chorych ma świadomość stanu do jakiego się doprowadził. Opowiada:

— Przyszła do mnie siostra z żoną. Powtórzyła mi pytanie mojej dziewięcioletniej córeczki: „czy tatuś, gdy wróci będzie już innym? Czy będzie miała tatusia"?... Tak. Jestem alkoholikiem. Wiem o tym. Przyjechałem tu dobrowolnie. Mam nadzieję, że znów będę człowiekiem. Do końca życia ani jednej kropli alkoholu.

Wierzymy wszyscy troje: Dr. Soszyńska, ja, on...

— Jaki jest procent całkowitej wyleczalności? pytam panią doktór.

— Od dziesięciu do dwudziestu.

— A co z resztą?

Jak by zamiast odpowiedzi, zajeżdża przed budynek szpitalny wóz. Sześciu pacjentów z tobołkami wsiada powoli do środka. Szofer zapuszcza motor. Odjeżdżają na roczny pobyt do Głazu, gdzie poddadzą ich dalszej kuracji. Nikt, prócz szpitalnego personelu ich nie żegna. Zmęczone ich obecnością rodziny odpoczną przez ten

rok. Dzieci znów będą miały buciki, możność odrabiania lekcji w domu, znów poczują ciepło domu, w którym zabrakło ojca.

* * *

Zdejmuję z siebie fartuch, ale nie mogę zdjąć wrażenia. Nawet kawa, którą częstuje mnie w swoim gabinecie dr. Soszyńska nie kojarzy się ze spokojem kawiarni, choć nie przerywają naszej rozmowy żadne głosy zza drzwi. Zamykam notes.

— Podsumowanie? — uśmiecha się pani doktór.

— Tak.

— I czym zakończy pan swój reportaż?

— Apelem do społeczeństwa. Do owych „kolegów" przekonywujących byłych pacjentów, że jeden kieliszek „za zdrowie" nie zaszkodzi. Przecież tylko ich postawa może uratować tych ludzi! Kuracja apomorfinowa, anticol, pobyt w Głazie to tylko półśrodki, to tylko pomoc tym nieszczęśliwym ludziom, nie zdającym sobie sprawy z własnego stanu.

Apelem do żon, by bardziej bezwzględnie interweniowały w przypadku zauważenia nałogu u mężów. Do rad zakładowych, aby energiczniej eliminowali pijaków spośród załóg. Do dyrekcji zakładów, które powinny zwracać uwagę na pijaków, aby musieli poczuć się osamotnionymi i zrozumieli jakoś bardziej namacalnie, że nigdzie nie znajdą dla siebie miejsca. Do kolegiów orzekających o bardziej bezwzględne tępienie alkoholików. Ci ludzie muszą się poczuć wyrzutkami społeczeństwa, muszą spotkać się z bojkotem i pogardą. Muszą zdać sobie sprawę, że jedyna i ostatnia ich droga do normalnego społeczeństwa prowadzi przez poradnie antyalkoholowe, lub szpital.

Apelem do władz naszego miasta aby przywróciły restauracjom ich właściwą funkcję, aby przestały być knajpami, aby ludzie mogli w nich zjeść obiad bez wysłuchiwania pijackich wrzasków odbierających apetyt.

Zagadnienie alkoholizmu w naszym mieście to złożony problem. Do rozwiązania jednak. W każdym razie do szerokiej dyskusji. Nie wierzę, by społeczeństwo było bezsilne wobec pijaków i pijaństwa. Nie wierzę, by nie udało się zabronić sprzedawania wódki w restauracjach w obiadowych godzinach. Chodzi tylko o dobrą wolę.

Tekst:
Henryk Czarnecki

Zdjęcia:
Jerzy Fiedler

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

PROLOG DO „KOŃCÓWKI"

Cóż to za życie, *Andrzej przegrał wczoraj 200 rubli w karty, dywany trzeba będzie zwinąć na lato i przechować aż do zimy, na kolację będzie indyk pieczony i ciasto z jabłkami, jesteśmy dziś na czwartą zaproszeni do dyrektora, trzeba żyć*, ale cóż to za życie?

W tekście „Trzech sióstr" był niegdyś materiał na melodramat, może jeszcze na studium obyczajowe, i chyba na nic więcej. Dziś jest to nadal materiał na liryczyny melodram z łezką, ale jest to również materiał na studium postaw, a także, jak sądzę, na tragifarsę (wystarczy przypomnieć sobie ową kwestię Fieraponta o przeciąganiu sznura przez Moskwę, aby to zrozumieć).

Kazimierz Dejmek, który „Trzy siostry" na małej scenie Teatru Nowego reżyserował, nie zdecydował się na tragifarsę, nie interesował go jednak również melodramat. Dejmek, mimo wszystko, jest (jeszcze jest!) moralistą, a moraliści chętnie stronią od powtarzania realiów epoki, nie interesuje ich zazwyczaj zapaszek miast gubernialnych, źle się czują w atmosferze starej fotografii. Atmosfera starej fotografii została w Teatrze Nowym wywołana — zresztą znakomicie — przez scenografa, Józefa Rachwalskiego. Dejmka interesował jednak raczej współczesny, tu i teraz rozgrywający się dramat ludzi skazanych na wybór, a przecież niezdolnych do jego dokonania. A także konflikt między pragnieniem a realizacją, między możliwością a spełnieniem.

Czytałem niedawno — mówi w drugim akcie „Trzech sióstr" Wierszynin, (grał go Seweryn Butrym) a słowa te, choć w przedstawieniu Dejmka skreślone, są kluczem do inscenizacji — *pamiętnik pewnego francuskiego ministra, pisany w więzieniu. Minister był skazany za Panamę. Z jakim upojeniem, z jakim zachwytem wspomina o ptakach, które widzi przez okno więzienne, a których nie dostrzegał dawniej, kiedy był ministrem. Oczywiście teraz, kiedy go wypuszczono, znów po dawnemu nie dostrzega ptaków. Tak samo pani nie dostrzeże Moskwy, kiedy pani tam zamieszka. Nie ma dla nas szczęścia i być nie może, my go tylko pragniemy.*

Pragnienie szczęścia jest jednak obezwładniające. Masza (piękna Hanna Bedryńska) nie zamieszka nigdy w Moskwie, to dalekie miasto, do którego należy tęsknić, ale o którym nie należy mówić zbyt wiele, jest tylko mitem, legendą, snem który się nie spełnia. Siostry marzą o Moskwie, chcą wyjechać, ale nie wiedzą, po co? Ich tęsknota jest w gruncie rzeczy, bezprzedmiotowa. Sen nie spełni się więc z winy śniącego, tak przynajmniej, jak się zdaje, uważał, jeśli nie Czechow, to Dejmek. To nie epoka jest winna, nie los, to my jesteśmy winni, my, którym dano prawo wyboru, a którzy nie umiemy z tego prawa skorzystać. Masza nie podejmuje nawet próby zatrzymania Wierszynina, wybór Iriny (granej znakomicie przez Urszulę Modrzyńską) będzie zaledwie unikiem, Olga i Andrzej wybiorą rezygnację, i tylko Tuzenbach zaryzykuje wszystko, Tuzenbach, w którym przemieszane są bezsensowna nadzieja i świadomość nieuchronnej klęski. Ze śmiercią Tuzenbacha (Mieczysław Voit, świetne studium histerii, skrywanej pod maską domorosłego filozofa) kończą się właściwie „Trzy siostry", powiedzmy raczej, powinny się kończyć. Małżeństwo Iriny nie dojdzie do skutku, nie spełni się więc nawet i to, co było tylko pozorem wyjścia, co udać się w końcu i tak nie mogło, to co z góry skazane było na niepowodzenie. Ani próba Iriny, ani próba Maszy nie zostaną doprowadzone do końca, dla trzech sióstr nie ma ratunku, skazane na siebie, będą wegetować w gubernialnym mieście. Próba odnalezienia wartości spełzła na niczym, tu, powtarzam, kończy się sztuka, reszta jest dopowiedzeniem, i to dopowiedzeniem prawie optymistycznym, wojsko odchodzi, *muzyka* — mówi Olga (Barbara Rachwalska) — *gra tak wesoło, tak skocznie*, i dalej, *zapomną nas, ale cierpienia nasze przemienią się w radość dla tych, którzy przyjdą po nas*. Trzeba żyć, trzeba pracować, to wszystko. Nadzieja nie zostaje więc odebrana nawet siostrom, tym bardziej nie zostaje odebrana widzowi.

Chciałbym zobaczyć kiedyś na scenie „Trzy siostry" bez tego zakończenia przyznajmy, łzawego i skłamanego. *Przed chwilą baron został zabity w pojedynku*, te słowa Czebutykina są chyba pointą wystarczającą, dodajmy, wystarczająco okrutną. Nic się nie stało, to tylko baron został zabity, życie potoczy się dalej, senne i obezwładniające. Może i trzeba żyć, ale po co, nie wiadomo.

W spektaklu Dejmka nie zabrakło co prawda odmarszu wojsk i muzyki i patosu ostatnich kwestii, całe przedstawienie zaprzeczało jednak temu zakończeniu, dramat poszukiwania wartości, w imię których trzeba żyć, okazał się dramatem pozornym, ponieważ wybór wartości nie został dokonany z winy bohaterów. Propozycja realizatora godna jest na pewno rozważenia, Czechow sentymentalny i liryczny, Czechow z łezką, zasłuchany w muzykę rosyjskich brzóz, nie jest już chyba strawny dla współczesnego widza. Podobnie, jak Czechow współczujący i wybaczający. Dejmek pokazał nam tym razem Czechowa dalekiego od sentymentalizmu, ironicznego, nawet bezlitosnego. Ten Czechow nie usprawiedliwia nikogo, jego bohaterowie, bezsilni, skazani na czas teraźniejszy, nie zostaną zbawieni, ponieważ nie chcą zostać zbawieni, nie odnajdą przyszłości, ponieważ przyszłość nie jest dla nich problemem, kwestią wyboru, jest snem, tylko snem. *Teraźniejszość*, mówi Andrzej Prozorow, *jest wstrętna, ale za to, jak pomyślę o przyszłości, to tak mi dobrze*. Dramat rozczarowanej tęsknoty zastąpiony został tragifarsą bezsilności, stąd już tylko krok do okrucieństwa „Końcówki" Becketta:

CLOV: Więc wy wszyscy chcecie, żebym was opuścił?

HAMM: Oczywiście.

CLOV: No, to was opuszczę.

HAMM: Nie możesz nas opuścić.

CLOV: No, to was nie opuszczę.

HAMM: Możesz tylko nas dobić.

Clov nie opuści nigdy Hamma, pozostaną zawsze razem, w szarym świetle, w miejscu końca. Andrzej Prozorow (grał go znakomicie wystudiowany w każdym geście Ignacy Machowski) nie opuści nigdy gubernialnego miasta, nie będzie profesorem uniwersytetu, pozostanie na zawsze sekretarzem Zarządu Ziemstwa.

Nazwisko Becketta pada tu nie przypadkowo, u Czechowa praktykował nie tylko Eliot, nie tylko „Tramwaj zwany pożądaniem" Williamsa spisany jest ze sztuk tego ojca współczesnego dramatu amerykańskiego. Beckett zburzył konwencję, zlikwidował czas i logiczną ciągłość akcji. Czymże jednak różni się nędza istnienia Clova i Hamma i Krappa od nędzy istnienia Maszy i Olgi i Iriny? Ta sama jest też rozpacz i ta sama (ale tylko wtedy, kiedy spojrzymy na Czechowa tak, jak spojrzał Dejmek) wściekłość, tak samo ukryte pod zamierzonym wielosłowiem, gadaniną jałową, tak jak jałowe są nasze codzienne rozmówki.

„Trzy siostry" są majstersztykiem kameralnej roboty reżyserskiej, spektaklem, który przydarza się reżyserowi

— i teatrowi, i miastu — raz na kilka lat (to na pewno także zasługa znakomitego zespołu aktorskiego). Dejmek, inscenizator wielkich spektakli, okazał się także znakomitym reżyserem kameralnym. Równie dobrze, jak w atmosferze nocy narodowych, czuje się na małej scenie, w atmosferze drwiny, przerażenia, rozpaczy. Wierzę, że wyreżyseruje kiedyś „Końcówkę" Becketta. To brzmi, oczywiście dość nieprawdopodobnie. Ale czymże są „Trzy siostry", jak nie prologiem do „Końcówki"?

Państwowy Teatr Nowy. Mała Sala. Antoni Czechow „Trzy siostry", przekład Artur Sandauer. Reż. Kazimierz Dejmek, scenografia Józef Rachwalski.

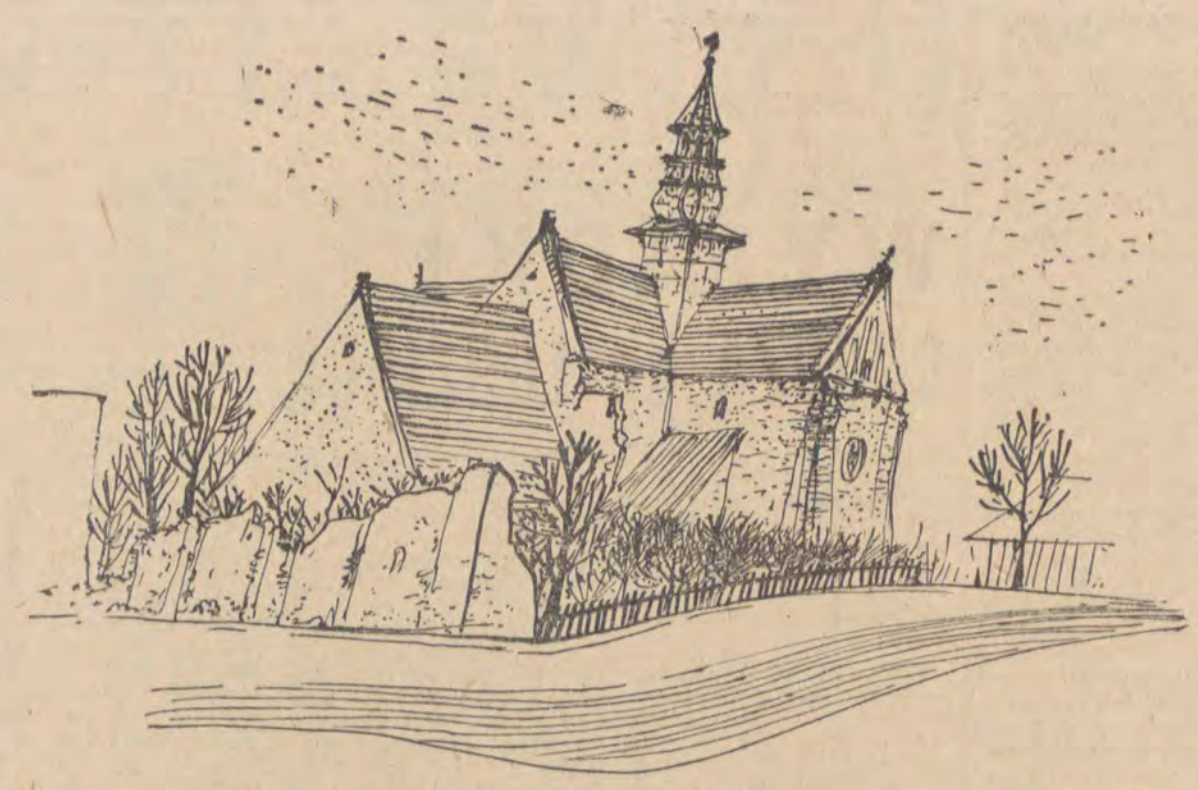

Rys. W. Kondek

TADEUSZ SZEWERA

KAZIMIERZ ZYGMUND

SIEDEM WCIELEŃ pana ZACHEUSZA

Wieś leży na pograniczu dwóch województw: kieleckiego i łódzkiego. I toczą się o nią zacięte spory. Tradycji bowiem musi się stać zadość. Ongiś spierali się o Podklasztorze magnaci i kler, dzisiaj spór wiodą ze sobą pracownicy rad narodowych. Podklasztorze, to nie lada gratka! Tu, na wyniosłym brzegu, u podnóża którego szemrze leniwa Pilica, znajduje się jeden z najciekawszych zabytków XI-go wieku: Opactwo Cystersów. Któżby więc nie chciał być właścicielem takiego sławnego zabytku?

Było już Opactwo Cystersów w rękach kieleckiej rady narodowej, było i w rękach łodzian; teraz znowu odzyskali zabytek kielczanie. A pan Zacheusz?... Pan Zacheusz raz jest tu, a raz tam. Jak Figaro. „Figaro tu, Figaro tam..."

Spory się toczą, a pan Zacheusz martwi się. Bo na tym cierpi odbudowa i konserwacja słynnego zabytku.

Gdyśmy przyjechali do Opactwa, nie było tu nikogo ani z Wojewódzkiej Rady Narodowej z Kielc, ani też z Łodzi. Był natomiast pan Zacheusz. Pan Zacheusz jest tu zawsze. Mieszka na terenie Podklasztorza, opiekuje się zabytkiem, pełni funkcję przewodnika, oprowadza przyjeżdżających, opowiada, objaśnia i czasem się żali, że te swary między Kielcami a Łodzią nic dobrego nie dają.

Wysłuchaliśmy więc historii o pięciu basztach: o stojącej od strony wschodniej baszcie opackiej, pochodzącej z XIV w., a zbudowanej na wzór budowli tego typu we Francji; o baszcie okrągłej, nazywanej Muzyczną, na krużganku której w czasie uroczystości zasiadała kapela, koncertując dla okolicznych chłopów i szlachty; o Bramie Krakowskiej, która była jednocześnie jedynym wjazdem do zabytku; o „Baszcie z blankami", albo tak zwanej Wieży z Attyką, od której szedł mur obronny do Baszty Rycerskiej; wreszcie o najstarszej baszcie w zabytku, Baszcie „Maurytańskiej", zbudowanej w 1242 roku.

Udaliśmy się potem do muzeum. Bezskutecznie jednak kołataliśmy klamką. W muzeum nie było „żywego ducha". I bylibyśmy może odeszli z niczym, gdyby nie mały chłopiec bawiący się opodal na piaszczystej skarpie wśród ruin pałacu Opatów Cysterskich.

— Ja polecę po tatusia, bo tatuś ma klucz — zawołał i pędem pogonił przez dziedziniec. Niebawem nadszedł zapowiedziany „tata". Możecie sobie wyobrazić nasze zdumienie, gdy tym „tatą" okazał się nie kto inny, a właśnie... pan Zacheusz. Kluczem liczącym ponad trzysta lat otworzył ciężkie, okute żelazem drzwi kapitularza, i już jako kustosz muzeum, zaprosił nas do zwiedzania.

Spędziliśmy w muzeum wiele chwil. Opowiadał nam pan Zacheusz o zbiorach numizmatycznych wykopanych podczas niwelacji dziedzińca opactwa, pokazywał nam rzeźby ludowych artystów, pokazywał znalezione w lochach i piwnicach miecze, szczątki zbroi rycerskich i ozdób, oglądaliśmy stare malowidła wykonane przez braci zakonnych, a zdobiące niegdyś wnętrze klasztoru.

Pan Zacheusz zna każdy eksponat na wskroś, umie o każdym coś ciekawego powiedzieć, cieszy go każde powiększenie się zbiorów muzealnych. Tu w muzeum zrozumieliśmy dopiero w pełni, dlaczego martwi go tak bardzo spór dwóch władz wojewódzkich. Pan Zacheusz boi się o całość zbiorów, jakby były one jego osobistą własnością. Rzadka to cnota, ale w wypadku pana Zacheusza zrozumiała. Bo to muzeum jest faktycznie dziełem jego rąk, wynikiem ogromnego wysiłku, jaki weń włożył w ciągu wielu długich lat pracy w charakterze bezpłatnego kustosza, społecznika z zamiłowania.

To jest to drugie wcielenie pana Zacheusza. A trzecie?

Trzecie będzie za chwilę. Poznaliśmy je zupełnie przypadkowo w drodze powrotnej, gdyśmy po rozstaniu z panem Zacheuszem przejeżdżali przez wieś Podklasztorze. Przypomniało się nam, że warto byłoby porozmawiać i we wsi z kimś, kto zna stare legendy o tej miejscowości. Legendy związane, oczywiście, z zabytkowym opactwem.

Wstąpiliśmy więc do pierwszej z brzegu chaty, a tu nam na nasze pytanie gospodarz powiada tak:

— Pojadą panowie do klasztoru. Tam, w takim czerwonym budynku, na który mówią „Arsenał", mieszka pan Zacheusz. On wam dokumentnie wszystko opowie...

Tak więc znaleźliśmy się znowu u pana Zacheusza, tym razem u zbieracza legend. Cytować tych legend nie będziemy — wystarczy powiedzieć, mógłby z nich powstać pokaźny i bardzo ciekawy tomik.

Podziękowaliśmy panu Zacheuszowi bardzo serdecznie za czas, który nam poświęcił i wsiedliśmy do samochodu przekonani, że już na dobre opuszczamy mury Opactwa, i że już więcej tu nie wrócimy. A jednak wróciliśmy i to niebawem.

Tak się złożyło, że po drodze wstąpiliśmy do pobliskiego Sulejowa, miasteczka, w którym urodził się i w którym mieszkał autor głośnej swego czasu książki „Stare i nowe" — Lucjan Rudnicki. Rozmawialiśmy z mieszkańcami o różnych sprawach. O osobistych ich kłopotach, o Lucjanie Rudnickim, o Opactwie Cystersów, o sporze kielecko-łódzkim, o zwyczajach i obrzędach miejscowych. A, że nasi przygodni znajomi nie byli znowu tacy młodzi, zapytaliśmy ich przy okazji, czy przypadkiem który z nich nie zajmuje się zbieraniem właśnie pieśni i obrzędów. A oni niemal chórem powiadają: „A jest tu taki, jest! Nawet niedaleko stąd! Nazywa się..."

Nie musieli nam dwa razy powtarzać. Wiedzieliśmy, że chodzi znowu o pana Zacheusza. W ten sposób wróciliśmy po raz czwarty do wsi Podklasztorze. A gdyśmy wchodzili po schodach wiodących na pięterko „Arsenału", pan Zacheusz siedział przy pianinie i śpiewając, grał jakąś obrzędową pieśń.

To było czwarte wcielenie pana Zacheusza. A piąte? Pan Zacheusz pisze. Nie, nie jest literatem tworzącym powieści, nowele, opowiadania. Pan Zacheusz pisze ludowe gadki. W wolnych chwilach od zajęć w muzeum, kiedy nie ma turystów i wycieczek, wędruje po okolicznych wioskach, słucha opowieści najstarszych ludzi, a potem zamyka się w swoim pokoiku w „Arsenale" i pisze. Pisze gwarą wesołe, ludowe opowiastki. Ma ich zgromadzonych już ponad sto i sam je także wykonuje przy przeróżnych okazjach.

Na piętrze dawnego „Arsenału" mieszka pan Zacheusz, przewodnik po zabytku, kustosz muzeum, zbieracz legend i folkloru, autor gadek ludowych. Na parterze mieszczą się klasy szkoły podstawowej.

W tej szkole uczy gorący zwolennik i wielbiciel historii. Nauczyciel ma na imię... Zacheusz. Od wielu lat wszczepia dzieciom z Podklasztorza zamiłowanie do poznawania minionych dziejów naszego kraju, uczy ich jak z maleńkich monet, szczątków zbroi rycerskich, starych obrazów można odczytywać przeszłość narodu.

I to jest szóste wcielenie pana Zacheusza. Na pedagogu nie kończy się jednakże — mówiąc żartobliwie — wykaz „przeobrażeń" pana Zacheusza. Kiedy próbowaliśmy je jakoś podsumować, z pewnym zażenowaniem, ale i zadowoleniem uzupełnił nasze obliczenia następującymi danymi:

— Jestem nauczycielem, przewodnikiem po zabytku, prowadzę schronisko PTTK, jestem radnym Gromadzkiej i Powiatowej Rady Narodowej, przewodniczącym Komisji Kultury przy PRN, społecznym kustoszem muzeum, organizatorem kwartetu muzycznego no i... mam 50 lat!"

Uśmiechnęliśmy się na te słowa, uśmiechnął się i pan Zacheusz. Trochę to wygląda na nieprawdopodobną historię, by jeden człowiek mógł się tak często „przeobrażać" i co najciekawsze, na wszystko mieć czas.

A przecież... to zupełnie nie zmyślona historia, że we wsi Podklasztorze mieszka pan Zacheusz. I naprawdę w ciągu jednego dnia byliśmy świadkami aż siedmiu „wcieleń" pana Zacheusza. Wprawdzie do tej pory wymieniliśmy tylko sześć, ale gdyśmy już odjeżdżali z Podklasztorza pan Zacheusz zaprezentował się nam jeszcze jako... muzyk. Sądząc, że już nas nie ma, wyciągnął z szafy skrzypce i stojąc w otwartym oknie — grał.

I to było siódme wcielenie pana Zacheusza, pana Zacheusza Misiórskiego ze wsi Podklasztorze. Może zresztą nie siódme? Może pomyliliśmy się w rachunku? Jeżeli tak się stało — bardzo was przepraszamy.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Kurort

W pijalni wód orkiestra stroi instrumenty.
Kto pamięta falcgrafa? Niegdyś nas kochała
Ta dziewka, Fräulein Lotta. Czym zapach pościeli,
Czym czas przeszły? Czy wraca, co kiedyś być mogło,
Choć nie wiesz, kiedy? Bo potem tę Lottę widziano
Z mężczyzną w szelkach, na skoszonej trawie,
A falcgraf umarł młodo. Wieczorem przed lustrem
Syczą znów włosy Lotty, spienione i rude.
Tak czas przeszły nas zwodzi, bo on się powtórzy
W innym czasie, zaprzeszłym. A pościel splamiona
Przez tego, który odszedł, ale może wróci,
Jeśli go zaprosimy.
Co dziś zwiesz przyszłością,
Wczoraj przeszłością było. W ruinach kurortu
Polowałem na lisy z falcgrafem neuburskim.
Patrz! to on właśnie, ten mężczyzna w szelkach
Krąży ponad pijalnią ze świtą i z psami.
Źródła starogermańskie później go wymienią,
Bo w badzie pijał wody, słuchając orkiestry.
I wszystko przelamane, i wszystko upada.
W czas przeszły, a czas przeszły, nim zdąży się stać
Czasem przyszłym, upada w czas niegdyś zaprzeszły.
A kim powrócę, nie wiem.
O mężczyzno w szelkach
O próchno w meloniku, dokąd to odchodzisz?
W pijalni wód orkiestra na zawsze umilkła.
I Fräulein Lotta, co nas tak kochała,
W szepty krwi zasłuchana, kapelusz przymierza
I rude włosy spina przed lustrem, gdy służba
Pościel, w której umarłem, do pralni zabiera.
Gute Nacht, Fräulein. Ten falcgraf neuburski,
Rozszarpany przez gwiazdy, powróci tu z czasem,
Z twoim czasem, nie z jego. Bo to nam sądzone:
Ten płacz i chichot, to są zmarłych głosy.
Cóż, byliśmy szczęśliwi w kolejce linowej.
Dobranoc, Fräulein. Nie po nas ten płacz.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Ospa nowoczesności

Ten tytuł może być dwojako rozumiany: albo jako szczepionka przeciwko chorobie starzyzny, albo jako brzydkie dzioby na zdrowym obliczu sztuki po przebytej chorobie nowoczesności. W mojej intencji leżą oba sensy tego tytułu i sądzę, że nie od rzeczy będzie omówić je tutaj po kolei.

A więc nowoczesność jako szczepionka przeciwko chorobie starzyzny. Owszem, to można przyjąć pod warunkiem, że się określi, co będziemy uważać za starzyznę, a co za nowoczesność. Czy nowoczesność to pogarda dla wszystkiego, co jest stare, czy tylko dla tego, co jest starcze? I jaka jest różnica między czymś starym a starczym? Czy Kochanowski, Bach, Goethe i Puszkin są już starczy, czy tylko starzy? Więc czy starość pewnego zjawiska w życiu i w sztuce jest już sama przez się godna pogardy, czy tylko dopiero jego starczość upoważnia do tego?

Wydaje mi się, że odpowiedź na te pytania jest dosyć prosta. Nowoczesność jest szczepionką przeciwko starczości w starym. Starość czyli wiekowość pewnego zjawiska nie jest wcale w oczach, że tak powiem, nowoczesności żadną dyskwalifikacją. Nowoczesność tak pojęta, to znaczy z szacunkiem do tradycji, oczyszczonej z próchna starzyzny, określa się sama przez się jako nowe zjawisko kulturalne, które nie burzy, lecz buduje, które opierając się na fundamencie starego dodaje do niego nowe elementy i w ten sposób pomnaża ogólny tzw. skarbiec kultury.

Nowoczesność, która nie przerywa ciągłości twórczej pokoleń, lecz jedynie modyfikując i przekształcając twórczo otrzymany spadek odnawia jego aktualność, uaktywnia jego promieniującą wiecznie energię. Łatwiej bowiem zburzyć całkowicie paryską katedrę Notre-Dame, niż z podpatrzonych i krytycznie zanalizowanych jej elementów wyprowadzić nowe zasady architektoniczne i wybudować nowe gmachy równie wspaniałe na miarę naszych marzeń i godne naszego wieku. Łatwiej także wyrzec się Szekspira i Chopina i zacząć od bełkotu i jazgotu, niż poznać dogłębnie i zanalizować twórczo te ciągle jeszcze niewyczerpane w swych możliwościach interpretacyjnych źródła i wyprowadzić z nich nowe, olśniewające aktualnością, odkrywcze elementy dramatu i muzyki.

Ale czy nie ma tak pojmowanej nowoczesności, która burzy wszystko do imentu (do podstaw, do korzeni) i buduje od nowa? Zaczynać od nowa, to znaczy powtarzać cykl procesu, który się zburzyło, od początku. Czy warto? A może burząc wszystko, zaczynać z niczego? Nie. Nie można zaczynać z niczego. Żadna z rewolucyj

Dalszy ciąg na str. 8

IRENA DRYLL

APOSTOŁOWIE z TERENU

„Pewnemu mężowi, który dość długo nie mógł się zdecydować na wybór odpowiedniej lektury, Julcia zaproponowała ot tak, bez żadnej okazji, „Poletko Pana Boga". Mąż ucieszył się. Zapłacił, a jakże, z procentem, podziękował. Nawet coś wymamrotał składnie o miłej panience, która rozpowszechnia słowo Boże".

Jeżeli ktoś spodziewa się znaleźć w „Apostołach" opis dwunastu świątobliwych mężów, dozna rozczarowania podobnego, jak występujący w jednym z opowiadań tej książki — nabywca „Poletka".

A jednak w „Apostołach" nie brak apostołów. Poza trzema bohaterami tytułowego opowiadania, Piotrem, Michałem i Pawłem Apostołami, tym biblijnym mianem — symbolem wszelkiego nauczania, wychowywania i kształtowania ludzi, można — z lekkim przymrużeniem oka, tak właśnie jak to czyni autor, określić i inne postaci.

Apostołowie przy tablicy i z kredą w ręku, apostołowie w prowincjonalnym radiowęźle, apostołowie w sutannie — nauczyciel, działacz kulturalny i ksiądz. Wszyscy połączeni wspólnym terenem działania — prowincją, wspólną chęcią — zdobycia autorytetu w środowisku, a przede wszystkim chęcią ukształtowania i wychowania młodzieży, rozdzieleni — celem, metodami działania i wynikami.

„Apostołowie" stanowią kontynuację i rozwinięcie poglądów Babinicza na temat roli nauczyciela w środowisku, sytuacji warunków w jakich musi pracować wychowawca czy działacz kulturalny, mentalności mieszkańców małych miasteczek i wsi, pozycji plebanii — wyrażonych w szeregu artykułów drukowanych w pismach społeczno-kulturalnych i poprzednich publikacjach książkowych (m. in. „Listy z parafii" wydane również przez Wydawnictwo Łódzkie).

Najbardziej pasjonują autora „apostołowie przy tablicy" i ich problemy. Własne, długoletnie doświadczenie pedagogiczne i kontakty z młodzieżą, uzupełnione bystrą penetracją i obserwacją współczesnego życia szkolnego na tzw. prowincji, złożyły się na powstanie szeregu ciekawych opowiadań i ciekawych postaci „belfrów". Całą ich galerię otwiera Piotr Apostoł („Apostołowie"), pełen archaicznego wdzięku nauczyciel i działacz reprezentujący pedagogów starego typu, oddanych i żyjących wyłącznie dla s w o j e j szkoły i s w o j e g o miasteczka, ale nie zawsze będących w stanie zrozumieć dzisiejsze pokolenie młodzieży i... nauczycieli. Różnice między pochodzeniami są równie silne w środowisku nauczycielskim jak i każdym innym. „Dziś młody nauczyciel ani myśli o Judymie i z pobłażliwym uśmieszkiem śledzi starszego kolegę krzątającego się w gospodarstwie. Jeśli już marzyć o jakimś wygodnym życiu, o podniesieniu stopy życiowej, to raczej o motocyklu, skuterze, bodaj motorowerze. Młodzi są zupełnie niepodobni do swoich starszych kolegów"... powie autor w jednej ze swoich publikacji z okazji Zjazdu Nauczycielskiego („Życie Literackie" 18.XII.60 r.). Artystycznym potwierdzeniem tych słów są postaci młodych nauczycieli — Fularskiego czy Uzdowskiego („Zabieg w Pawłowie" i „Pokój nauczycielski"). Ich metody pracy i sposób postępowania z młodzieżą a także krąg własnych zainteresowań, daleko odbiegają nie tylko od pokolenia Siłaczek ale i bliższego nam w latach, dość licznie jeszcze reprezentowanego pokolenia, dla którego swego rodzaju ewangelią są tradycje Siłaczek i Judymów a świętym Żeromski. Typową reprezentantką jest tu jednocześnie śmieszna i wzruszająca Celina Mularczyk („W Strawczynie był król").

Sylwetki „apostołów kultury" pokazał autor na tle prowincji. W najgorszym pojęciu tego słowa. I ten obraz „polskiego zaścianka", gdzie góruje plotka domowa, szantaż moralny, gdzie każde posunięcie śledzą i komentują dziesiątki ciekawych, nieprzychylnych oczu, przysłonił swą wymową same postaci bohaterów. „Umysły mierne potępiają wszystko, co przechodzi ich miarę" — powiedział La Rochefoucald. Ale gdyby znał np. Barłów (opowiadanie „Macki") dodałby: wszystko co się od nich różni i wszystkich, którzy chcą ich wyrwać z gnuśnego trybu życia. Potępiają, to zresztą za słabe słowo. Skazują na śmierć towarzyską, na odosobnienie, bez sądu i racjonalnych argumentów (patrz — „Macki" — świetne opowiadanie ukazujące cały mechanizm wykańczania „faceta, co za dużo podskakuje").

Sławną „Dysputę" H. Heinego przypomina atmosferą opowiadanie „Konkurencje". Prawosławny ojciec Daniel dzięki temu, że „nie niszczy papierów bo wie z doświadczenia że pismo to dokument, który zawsze obrócić można przeciw autorowi", wygrywa spór z katolickim księdzem. Właśnie przy pomocy papierku, który ten kiedyś doń napisał.

Pełen autentyzmu, choć częściowy i wyrywkowy opis tzw. prowincji, jej działaczy i mieszkańców zawarty w „Apostołach" sprawia, że książka nabiera wagi dokumentu z naszej epoki.

P. S. Babinicz jest optymistą i czasem ta piękna wobec świata postawa sprawia, że zaobserwowane przez niego fakty, noszące w sobie zalążki na poważny konflikt dramat, ba — tragedię nawet, rozłażą się w ckliwosłodkim zakończeniu („Brytan i jego pan") lub nie są „wygrane do końca". Czasem wydaje się też, że autor celowo przymyka oczy i oszczędza nam przykrości dowiadywania się o ostrych konfliktach (np. między starym a młodym pokoleniem nauczycielskim, między plebanią a postępowym nowoczesnym pedagogiem itp.). Takie konflikty czytelnik jedynie przeczuwa i domyśla się ich czytając „między wierszami".

(dokończenie ze str. 1)

ków stracono 220 milionów roboczodniówek. Co roku traci tam życie przy pracy 14 tysięcy robotników. We Francji co dwie minuty ktoś przy warsztacie umiera, lub staje się kaleką. W maleńkiej Szwajcarii notuje się do 200 tysięcy urazów rocznie, z tego do 400 śmiertelnych. W krajach rozwijających się gospodarczo — jak India — w ciągu ostatniego dwudziestolecia wskaźnik wypadków w fabrykach wzrósł o 140 procent. W tym samym czasie w Anglii, pomimo ogromnych nakładów na BHP, liczba awarii zmalała tylko o 38 procent.

Ponad połowę poważnych uszkodzeń cielesnych powoduje „tragiczna piątka": upadek z wielkiej wysokości, upadek na ziemi, runięcie dużego ciężaru, nieuwaga przy maszynie nieostrożne obchodzenie się z narzędziami ręcznymi.

To nie jama jest winna, że człowiek w nią wpada. I chociaż wygląda to na paradoks, statystyka udowodniła, że załadunek ciężkiej skrzyni bardziej zagraża zdrowiu i życiu ludzkiemu niż produkcja tak straszliwego materiału wybuchowego, jakim jest nitrogliceryna.

Zresztą niebezpieczeństwo czyha nie tylko w fabrykach i przy transporcie. Równie „szkodliwa dla zdrowia" jest praca na roli. Co ciekawsze — w krajach wysoko rozwiniętych i zacofanych główne przyczyny wypadków są mniej więcej takie same. I tak w roku 1957 zarówno farmerzy w stanie Indiana, jak rolnicy angielscy i robotnicy na plantacjach w Cejlonie ginęli najczęściej na skutek upadku z drzewa, najmniej wypadków powodowały domowe zwierzęta. Inna rzecz, że psy — przyjaciele człowieka — w owym tylko roku pokąsały w Stanach 600 tysięcy ludzi, na pomoc dla ofiar wydatkowano ponad 5 milionów dolarów.

KLĘSKA MOTORYZACJI

Po szosach i drogach krąży ponad 100 milionów samochodów i drugie tyle motocykli i skuterów. W Stanach Zjednoczonych jeden pojazd mechaniczny przypada na dwoje ludzi, we Francji na czterech, w Szwajcarii na siedmiu. Niektórzy kierowcy lubią się napić, przechodnie z reguły nie uważają, opony się zdzierają, a szosy bywają śliskie. I dlatego — oczywiście nie tylko dlatego — codziennie na drogach świata ginie około tysiąca ludzi. Jest to jedna trzecia wszystkich nieszczęśliwych wypadków zakończonych śmiercią.

Sprawy te są na ogół dobrze znane. W większości krajów powołano specjalne instytucje i komitety, które badają przyczyny wypadków drogowych i próbują przeciwdziałać złu. Badania naukowe prowadzi między innymi uniwersytet w Harward. A wyniki są bardzo interesujące.

Stwierdzono na przykład, że przy szybkości około 100 km na godzinę katastrofy zdarzają się najrzadziej. O wiele więcej bywa ich przy małych szybkościach, a także przy bardzo dużych. Z drugiej strony jednak przy małych szybkościach tylko 22 procent wypadków kończy się śmiercią, przy dużych aż 33 procent. Do identycznych wniosków doszli również specjaliści angielscy. Przekonano się także, że najniebezpieczniejsze są miesiące letnie oraz nagłe ulewy po słonecznej pogodzie. W dni dżdżyste wypadków bywa mniej.

WYPADKI CHODZĄ po LUDZIACH

Próbowano też określić typ człowieka predysponowanego do wypadku. Tu jednak trudno było ustalić coś pewnego. Wydaje się wszakże, iż zbyt szybka reakcja i zbyt wolna dają jednakowo opłakane skutki, że kierowca z nadciśnieniem tak samo reaguje jak człowiek o ciśnieniu zbyt małym. Jednakże lekarze fińscy wykazali, że kierowcy poniżej trzydziestki powodują więcej wypadków niż ludzie po pięćdziesiątce. Badania przeprowadzone na londyńskich kierowcach autobusów dowiodły, że ludzie w wieku podeszłym nawet po ukończeniu 65 lat życia — pomimo zwolnionej reakcji, osłabionego wzroku i słuchu — prowadzą przy takim samym stażu znacznie uważniej i pewniej niż młodzieńcy. Okazuje się dalej, że żonaci są lepszymi kierowcami niż wdowcy, a najgorzej sprawują się rozwodnicy. Niepewni są tylko żonaci poniżej lat dwudziestu. W tym wieku raczej należy zatrudniać kawalerów. Jak w życiu — lepiej unikać ryzykantów.

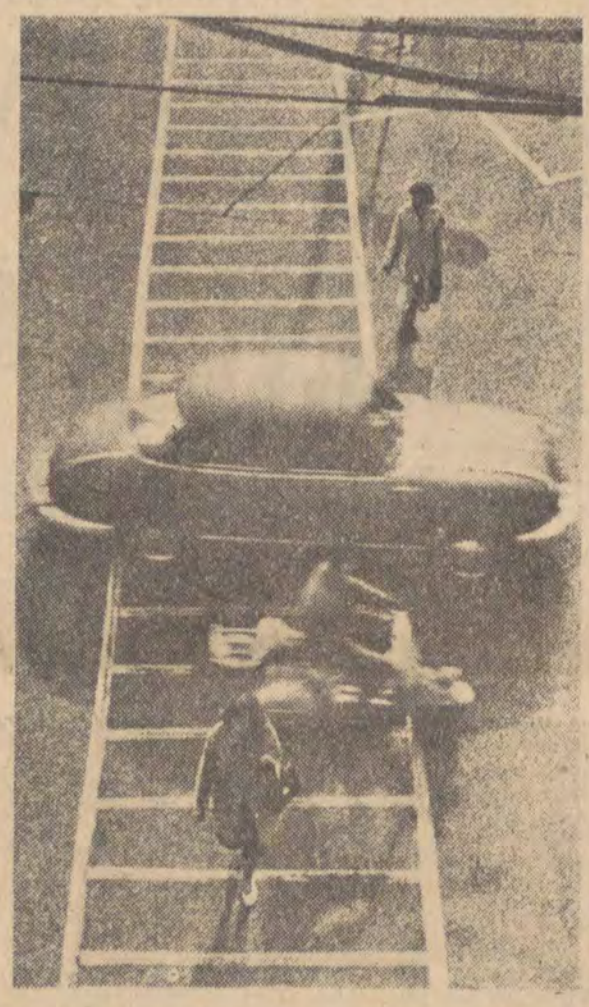

Wyłoniła się także generalna wskazówka dla pasażerów: trzymajcie się mocniej. Okazuje się bowiem, że najbardziej niebezpieczne jest dla nich nagłe zahamowanie. Z osób, które wypadły z samochodu ginie około 13 procent, a tylko poniżej 3 procent z tych, które pozostały wewnątrz. Dlatego właśnie zaleca się pasy ochronne. A przygodnych ratowników uprasza się: nie wyciągajcie ofiar spod szczątków. Przy nieumiejętnym zabiegu większość umiera.

NAJGORZEJ WE WŁASNYM DOMU

Najgorzej, gdyż człowiek przesadnie ostrożny, który dwakroć się rozejrzy, nim przejdzie przez pustą jezdnię, na dźwięk telefonu bez namysłu pobiegnie po świeżo wyfroterowanej posadzce. Na górskiej stromiźmie i na statku podczas sztormu, w samochodzie wyścigowym i podnaddźwiękowym samolocie człowiek współczesny może czuć się bezpieczniej niż w sypialni, kuchni i na klatce schodowej własnego domu mieszkalnego.

Zajrzyjmy jeszcze raz do biuletynu statystycznego UNESCO.

W roku 1959 w Stanach Zjednoczonych naliczono dziewięć i pół miliona nieszczęśliwych wypadków. Z tego na drogowe, i wypadki przy pracy przypadło trzy i pół miliona, na bytowe poza domem — dwa miliony i na wypadki w domu — cztery miliony. Śmiercią zakończyło się 93.500 wypadków: drogowe miały tu smutne pierwszeństwo — 36 tysięcy, bytowe z 26 tysiącami znalazły się „dopiero" na drugim miejscu.

Ogólnie najwięcej spotyka się skaleczeń, ofiarą padają przeważnie dorośli mężczyźni. Tylko oparzenia zdarzają się dwukrotnie częściej kobietom niż mężczyznom. Najniebezpieczniejsze jednak okazują się upadki, dotyczy to zwłaszcza osób w starszym wieku. Drugie miejsce z kolei zajmują zatrucia szczególnie charakterystyczne dla krajów o wysokiej stopie życiowej. W Anglii oblicza się rocznie 4.500 śmiertelnych upadków i „tylko" 1.500 zatruć wśród osób mających ukończone 65 lat. W ogóle połowa wypadków śmiertelnych dotyka ludzi starych, jedna czwarta dzieci w wieku przedszkolnym.

DZIECI SĄ CIEKAWE

Dziecko poznaje świat, a jest ufne i nie zna kosztów ryzyka. Lekarstwa i perfumy na nocnym stoliku, pasta do podłóg i środki piorące pozostawione bez dozoru, urządzenia elektryczne i wrzątek na płycie kuchennej — wszystkiego trzeba spróbować, pokosztować, dotknąć chociażby. Tak rodzą się wypadki. A równocześnie technika stwarza nowe, nieprzeczuwane niebezpieczeństwa. Ostatnio zdarzyło się wiele wypadków uduszenia niemowląt w łóżeczku. Okazało się, że pajęcze zasłony i falbanki z tkaniny polietylenowej elektryzują się łatwo i w tym stanie mogą zalepić szczelnie nos i usta dziecka.

W pewnych godzinach dnia nasilenie wypadków wzrasta. Różnie się zresztą dzieje w różnych krajach. W Holandii na przykład najniebezpieczniejsze jest południe, we Francji piąta po południu, w innych okolicach — godziny poranne, kiedy matka „wyskakuje" po sprawunki.

W Anglii małe dzieci giną przede wszystkim od uduszenia i oparzenia. W Holandii i krajach skandynawskich szczególnie często się topią, gdzie indziej jeszcze — trują. Wszędzie jednak, na całym świecie, czterokrotnie więcej wypadków zdarza się w domu rodzinnym niż na ulicy. Czemu to przypisać?

Niebezpieczeństwo jest najgroźniejsze tam, gdzie go nie widać.

Opracował K. J.

Dalszy ciąg ze str. 7

Ospa nowoczesności

na świecie, znanych nam w dziejach, nie burzyła niczego do szczętu i nie zaczynała z niczego. Każda burzyła tylko to, co było starcze w starym, a zaczynała od tego, co było w starym żywe i żywotne, a więc młode i zdolne do dalszego rozwoju. Słowem żadna z rewolucji nie burzyła żywej tradycji kultury ludzkiej, lecz jedynie martwy jej tradycjonalizm.

Niedawno Stefan Jarociński pisał w „Przeglądzie Kulturalnym" a propos tradycjonalistów i nowatorów w muzyce: „Każde nowe dzieło jest mieszaniną nowego i starego. I gdyby było takie, które by wyrosło z negacji całej tradycji, znalazłoby się siłą rzeczy poza nawiasem historycznego rozwoju muzyki. Nowatorzy w takim samym stopniu wystrzegają się całkowitego burzenia jak naśladownictwa".

Otóż to. Trzeba zrozumieć, że właściwie pojęta nowoczesność podobnie jak rewolucyjność to nie są synonimy absolutnie pojętej negacji i burzenia przeszłości, lecz jedynie bardziej odpowiedniego wyboru i aktualniej racjonalnego tworzenia.

Jeżeli natomiast uprawia się kult nowoczesności dla niej samej, to znaczy jako absolutną negację i burzenie wszystkiego, co było dotąd — to jest to zwykła ospa, której następstwem mogą być nie tylko brzydkie dziury na obliczu naszej kultury, ale także nawet śmierć tej kultury, powrót do prymitywizmu czyli barbarzyństwa. Zaprzeczać można tylko czemuś w życiu, ale nie życiu samemu, które się składa tyleż z przeszłości, co z przyszłości, i jeśli się neguje jedną tym samym unicestwia się drugą. Przeszłość i przyszłość to jak korzeń i łodyga. Bez tradycji nie ma nowatorstwa, a bez dawności oczyszczonej ze starzyzny — nowoczesności.

W poprzednim „sednie rzeczy" obiecałem odpowiedź na pytanie, co to jest „postępowa treść"? Oto ona: pewien sławny autor współczesny (kto to?) powiedział, że o tym, kto jest wstecznikiem, a kto postępowcem, decyduje jego bierny lub czynny stosunek do przeszłości. A czynny to nie znaczy negatywny. Rewolucjonista tym się różni od reakcjonisty, że nie aprobuje przeszłości lecz ją rewiduje, nie czyni z niej martwego absolutu, lecz żywy konkret.

Walka nowoczesności z przeszłością, to jakby (mówiąc słowami Stanisława Brzozowskiego) „bunt kwiatów przeciwko własnym korzeniom". Czy to ma sens? Wiadomo, że kwiat bez korzenia rychło więdnie i wyrzuca go się na śmietnik. W wypadku tak pojmowanej „nowoczesności" — na śmietnik historii.

MARIAN PIECHAL

MUZYKA w TELEWIZJI

Koncerty muzyki poważnej, popularnej i lekkiej stanowią istotną pozycję w programie telewizyjnym. Jak dotąd jednak koncerty te są chyba jednym z najbardziej nielubianych gatunków audycji. Dlaczego tak się dzieje? Na pewno dlatego, że strona wizualna koncertów telewizyjnych jest zupełnie nijaka. Skrzypaczka gra, powiedzmy, koncert Paganiniego. Kamery pokazują: solistkę w ujęciu 3/4, w planie bliskim, palce na strunach, akompaniatora, dłonie akompaniatora, solistę i fortepian w pełnym planie. I tak na zmianę. Bo i cóż więcej można pokazać w studio telewizyjnym? Czy jednak koncerty muzyczne należy nadawać koniecznie ze studia telewizji? Studia ubogiego w możliwość pozyskiwania dla audycji elementów wizualnych?

W Salzburgu nie tak dawno zakończyła się „Wiosna muzyczna". Wielka ta impreza charakteryzowała się świetnym wyborem miejsc koncertów. A więc, w zależności od gatunku muzyki — ogrody, kościoły, sale zamkowe oczywiście z tej epoki, z której pochodził wykonywany utwór. Grano więc Mozarta, Haydna, Beethovena, Schuberta w przepysznych barokowych salach zamkowych. Grano w mrocznych katedrach. To wszystko przyznajcie stwarza dodatkowy nastrój i wzbogaca znacznie percepcję muzyki.

Nic oczywiście, prócz tego, że to wielki trud, nie stoi na przeszkodzie by telewizja nasza zatroszczyła się również o stronę koncertów. Będzie to miało jeszcze i ten dobry skutek, że wiele zabytków naszej architektury zostanie spopularyzowanych wśród rzesz odbiorców. Ktoś, kogo nie interesuje specjalnie muzyka, chętnie popatrzy sobie na piękne komnaty zamku Wawelskiego, pokoiki Żelazowej Woli, sale pałacu Nieborowskiego, czy Łazienek. Przekazujemy ten pomysł naszej telewizji i oczekujemy na jego realizację.

Czekamy też w upalne wieczory lata na transmisje z teatru na wyspie w Łazienkach, na transmisje z pleneru dziennego i wieczornego.

„KÓŁKO i KRZYŻYK"

Ostatnio znów oczywiście zrobiłem coś, czego na łobrą sprawę robić się nie powinno — otóż zasiadłem przed telewizorem w czasie co dwutygodniowego teleturnieju „Kóło i krzyżyk", poczem obejrzałem audycję od początku do końca.

Czytelnik zna oczywiście zasady popularnej dziecinnej gry, która w normalnych warunkach zawsze kończy się wynikiem nie rozstrzygniętym przeto młodociani zawodnicy porzucają ją gdzieś na poziomie drugiej klasy szkoły powszechnej. W wypadku teleturnieju rozgrywkę komplikuje fakt, że wpisać krzyżyk lub kółko w wybraną kartkę można dopiero po prawidłowej odpowiedzi na zadane pytanie, przy czym poszczególnej kartce odpowiadają dwie dziedziny wiedzy, na przykład technika bądź teatr, historia nowożytna bądź znajomość Warszawy i tak dalej.

I cóż się, proszę państwa, dzieje? Dzieje się, że na placu boju spotyka się dwóch inteligentnych, opanowanych facetów o poziomie wiedzy z zakresu solidnie przestudiowanej szkoły średniej, może zresztą większym, ale szkoła średnia też by wystarczyła. Spotyka się, odpowiada swobodnie niemal na wszystkie pytania, no i po pół godzinie wynik jest taki, jaki był, czyli nieroztrzygnięty. Prowadzący audycję bardzo się dziwi i powiada: przyjdźcie, robaczki, za dwa tygodnie, a ja was znowu pytał będę...

Pewno przyjdą, jako że po ośmiu wygranych meczach zdobywa się telewizor, a jeden z zawodników ma już na koncie sześć zwycięstw, boję się jednak, że mogą tak się bawić całymi miesiącami.

Rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem w tym, że jednak mamy w Polsce paręset osób, które czegoś się nauczyły i coś nie coś czytają, na a te paręset osób „zagiąć się" nie da. Nie da, jako, że pytania są naiwnie łatwe. Na przykład:

Malarz włoskiego pochodzenia malujący obrazki z XVIII wiecznej Warszawy?

Kto skomponował „Porgy and Bess", „Amerykanina w Paryżu" i „Błękitną rapsodię"?

Kto był pierwszym prezydentem Francji?

Premierem jakiego państwa był Disraeli?

Jakie nadbałtyckie miasto nazywają „Wenecją Północy"?

Oprócz tego — z zakresu chemii — chodziło o wartościowość i o karbid, z zakresu fizyki o ciepło właściwe, z zakresu plastyki padło podchwytliwe pytanie „czy Matejko namalował Chodkiewicza pod Chocimem", z zakresu dramatu pytano delikwentów któż ach któż napisał „Widok z mostu", a z zakresu cytatów pomysłowość autorów poszła jeszcze dalej: wymagali znajomości pierwszego wiersza epilogu „Pana Tadeusza" i dociekali, czy wiedzą kto śpiewa „I ty mu wierzysz biedna dziewczyno..."

Strasznie to naiwne. Doprawdy, czy wierzysz biedna dziewczyno, że tego typu zawody mogą być sprawdzianem wiedzy, inteligencji i szybkiej orientacji? Co rok setki młodych ludzi wygrywają je wprawdzie bez kółek i krzyżyków, ale za to z dobrymi stopniami na maturach i nikt im za to nawet głupiej „Szarotki" nie odpali. Biedna młodzież.

ODBIORNIK KONTROLNY

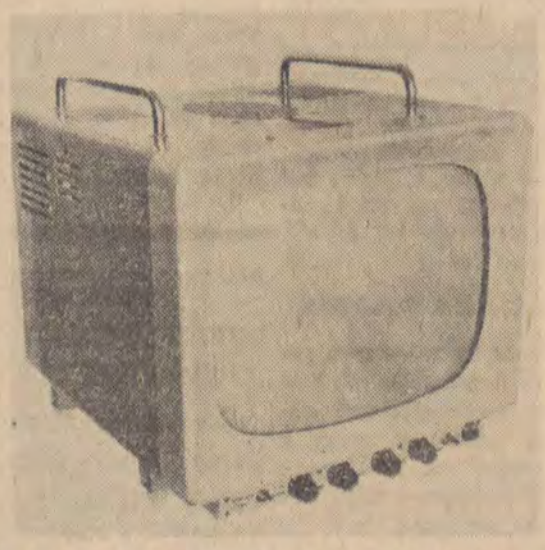

Nie jest to wcale najnowszy model polskiego przenośnego odbiornika telewizyjnego, choć na to wygląda. Jest to odbiornik kontrolny stosowany w pracy stacji telewizyjnych. Do niedawna urządzenia takie sprowadzaliśmy z zagranicy. Dziś produkuje się je w kraju. Warszawskie Zakłady Telewizyjne budują oprócz normalnych telewizorów również całe zespoły nadawcze i przekaźnikowe dla telewizji. Powoli uniezależniamy się od dostaw z Francji i Anglii.

Teatr

„ANNA KARENINA" „ZAKRĘT"

O Teatrze Telewizji piszemy raczej rzadko — nie dlatego, rzecz jasna, aby nie doceniać poniedziałkowych audycji stojących z reguły na wysokim poziomie, mających swój własny, odrębny styl, ale raczej z przyczyn technicznch — nasze oceny i sprawozdania docierają bowiem do czytelników bardzo późno.

Ostatnio widzieliśmy kolejno adaptację „Anny Kareniny" z **Niną Andrycz i Władysławem Krasnowieckim**, poczem bliską makabrze groteskę Dorsta „Zakręt" z **Kobuszewskim i Fijewskim** w reżyserii **Erwina Axera**. Była to może pozycja i nieco sporna, ale trudno nie oprzeć się uczuciu satysfakcji widząc jacy aktorzy grają, a jacy reżyserzy opracowują spektale warszawskiego Teatru Telewizji.

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK 16. VI.

18.30 Młodzieżowy program publicystyczny „Daleko od Warszawy" (K). 18.00 Program dla dzieci — filmy krótkometrażowe produkcji polskiej 1) „Dwa Michały", 2) „Pyza", 3) „Psotny kotek" (W). 19.00 „Łódzcy soliści melomani" koncert (Ł lok.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Porozmawiajmy" (W). 20.20 „Łaskawy znalazca" program publ. (W). 20.55 „Weekend" Teatr „Kobra" widow. sensac. Stanisława Branta (W). 21.55 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 16. VI.

16.55 Program dnia (Ł). 17.00 Program dla dzieci: Filatelistyka (W). 17.30 Wszystkie dni tygodnia (Ł lok.). 17.55 Program muzyczny (W). 18.25 Wszechnica TV z cyklu: „Historie z tej ziemi" program pt. „Czuję więc jestem" (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.30 „Ich czworo" sztuka Gabrieli Zapolskiej. Transmisja z Teatru Kameralnego (W). 21.30 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 17. VI.

17.25 Program dnia (Ł lok.). 17.30 Międzynarodowe Zawody Lekkoatletyczne o Memoriał Janusza Kusocińskiego (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Estrada Poetycka „Wiersze Warszawskie" (W). 20.30 Program publicyst. „Przed żniwami" (Ł lok.). 20.45 Film fab. prod. radzieckiej „Opowieść północna" od lat 16 (Ł lok.). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.15 Kabaret Starszych Panów: „Zielony karnawał" (powtórzenie) (W).

NIEDZIELA, 18. VI.

13.45 Program dnia (Ł lok.) 13.50 Niedzielna biesiada (P). 14.50 Filmy dla dzieci (Ł lok.). 15.10 Łódzki przegląd sportowy (Ł lok.) 15.20 Koncert wyk. zespołów regionalnych wyróżnionych na Ogólnopolskim Konkursie Muzyki Ludowej (Ł ogólnop.). 16.00 Disneyland: „Niedziela Kaczora Donalda" (W). 16.50 PKF (W). 17.00 Program filmowy „Wspomnienia o gwiazdach" (W). 17.30 Międzynarodowe Zawody Lekkoatletyczne o Memoriał Janusza Kusocińskiego (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.15 „Wesoła dwururka" — program Zespołu STS (W). 21.05 Film fab. prod. radz. pt. „Łagodna" wg noweli Dostojewskiego (czytany) (W). 22.15 Wiadomości sportowe (W).

TELEwizja

Jeżeli zapominamy o telewidzach –pamiętajmy o nadajniku

Co to znaczy „akcja szkoła"? „Akcja szkoła" znaczy, moi mili, że szkoła na wsi ma do spełnienia szczególną rolę. Że musi być nie tylko ośrodkiem kształcenia młodych pokoleń w zakresie klas siedmiu, ale musi też być ośrodkiem intelektualnego i fachowego (w sensie postępu rolnego) oddziaływania na wieś. Powiadacie państwo, że to nic nowego, że szkoła wiejska odkąd powstała rolę tę spełnia czy chce, czy nie chce. A ponieważ nauczyciele wiejscy to element bardzo wartościowy społecznie, szkoła wiejska „chce" i jest tym, czym w założeniu „Akcja szkoła" być powinna. Jak się rzekło — od dawna.

Telewizja łódzka odkryła nam jednak te wszystkie sprawy w audycji nadanej w ubiegłą środę. Przed kamerą zasiadł stremowany bardzo kierownik wydziału kultury Powiatowej Rady Narodowej i nauczycielka z Lipiec Reymontowskich. Obok nich redaktor Zdrojewski, który na te oczywiste tematy usiłował prowadzić pasjonującą rozmowę. Nauczycielka była wyraźnie zdumiona kiedy na karb sukcesów prowadzonej „akcji szkoła" chciano w audycji wlepić działający w Lipcach zespół teatralny.

— Proszę pana — powiada do Zdrojewskiego — ten zespół wystawia „Wesele Boryny", już od dwudziestu lat!

A zatem niewypał! Podwójny niewypał, jeśli się zważy, że w Lipcach prawdopodobnie nikt tej audycji nie widział bo to daleko, że słuchacz łódzki, który miał być poinformowany o jakiejś ciekawej akcji prowadzonej we wsiach naszego województwa stwierdził, iż to naprawdę nic nowego. A że o zespole z Lipiec czytał już sto razy w gazetach, mógł się zastanawiać, czy w całym naszym województwie tylko w Lipcach istnieje życie kulturalne o „typie folklorystycznym"?

No i rzecz zasadnicza. Przykro nam, że musimy o tym informować naszych kolegów z telewizji, ale każda audycja powinna posiadać jakąś wewnętrzną dramaturgię, jakieś stopniowanie, umiejętnie winno się sprzedawać posiadane wiadomości, wszystko po to by stale zaciekawiać widza. A tu tymczasem śpieszyliśmy się mając jedno tylko na uwadze: byle prędzej do końca.

Takie audycje nie przynoszą nikomu ani chluby, ani pożytku. Wobec tego pytanie: czy w programie telewizji nie należałoby robić przerw dwudziestominutowych wtedy kiedy nie mamy nic ciekawego do powiedzenia? Nadajnik by sobie odpoczął, a ludzie nie marnowaliby nerwów i energii elektrycznej?

X

Na przykład „PIĄTKA Z WYSPY SKARBÓW"

Swego czasu z okazji Dnia Dziecka raz jeszcze obejrzeliśmy film produkcji angielskiej „Piątka z wyspy skarbów" — film szedł kiedyś w odcinkach i należy — jeżeli się tylko nie mylimy — do całej grupy odcinkowych filmów angielskich obliczonych właśnie na telewizję i zakupionych swego czasu przez Polskę.

Konwencja młodzieżowych filmów tego typu jest raczej prosta — grupka kilkunastolatków zmaga się w dramatycznej walce z dwoma czy trzema bandytami, aby koniec końców zwyciężyć i oddać pokonanych w ręce policji; też sama konwencja wymaga, aby policja wkroczyła w akcję w ostatniej chwili, a cała rozgrywka przebiegła na płaszczyźnie dzieci — dorośli. Przeważnie chodzi o skarb, zatopione złoto jak w wypadku wyżej wspomnianego filmu, czy — powiedzmy — skradziony a bezcenny naszyjnik. Przy całej naiwności tego typu — grubymi niciami szytych — filmów, trzeba przyznać że realizatorzy potrafią dawkować przygody, potrafią utrzymywać napięcie, tak że młody i chyba nie tylko młody widz ma przynajmniej dobrą zabawę dyskretnie zaprawioną morałem. Że to zbrodnia nie popłaca, przyjaźń wymaga ofiar i poświęcenia, a odwaga jest piękną cechą charakteru.

I tu nasuwa się pytanie: czy nie stać nas, oczywiście w jakiejś perspektywie czasowej, na produkowanie podobnych, nie tak przecież drogich filmów? Zadając swego czasu podobne pytanie w przypadku „Klubu Myszki Miki" odpowiadaliśmy: chyba nie stać, chyba nie mamy dość rozwiniętej bazy technicznej, nie mamy dość ożywionych kontaktów... Ale taka „Piątka z wyspy skarbów" rodzimej produkcji bynajmniej nie wydaje się rzeczą nierealną, oczywiście pod warunkiem wystrzegania się jak ognia przesadnego dydaktyzmu. Można chyba powiedzieć, że nasze programy dziecięce stoją na wysokim poziomie, poczynając od niezawodnego „Wiolinka", poprzez „Misia z okienka" z kapitalnym Pawlikiem, a kończąc na — nierównym zresztą — „Teatrzyku w koszu". Oczywiście film telewizyjny a półgodzinny program to dwie zupełnie różne rzeczy, ale na dłuższą metę samymi zakupami się chyba nie wyłgamy, szczególnie że i one wymagają starannego opracowania dubbingowego, a to także kosztuje...

niezłomny duch SPORTowca

Łódź · rok I. nr 1 CENA 1 zł.

SUKCES KĄPIOŁKA II w PAJĘCZNIE

Znany lekkoatleta Kąpiołek II po zmianie barw klubowych (obecnie „Szum jodeł" Żywiec) nie zapomniał o swoim rodzinnym Pajęcznie. Onegdaj na zawodach lekkoatletycznych Kąpiołek przebiegł około 800 metrów. Na tych samych zawodach Cebulska skoczyła.

ŁÓDZCY KOSYNIERZY REDIVIVUS!!!

Na wczorajszym meczu z Cienią (Błaszki) nasi chłopcy dali olśniewający koncert gry, chociaż przy ustalaniu strategicznego planu batalii popełniono kilka piramidalnych błędów. Naszym zdaniem w bramce należało postawić Skrzydłę, a Oddźwierny mógłby przejść do ataku. Niestety, Oddźwierny niezbyt pewnie bronił swej twierdzy, a Skrzydło grał słabiutko na skrzydle. Poza tym, komu mamy zawdzięczać oburzający fakt, że Prawy grał, o ironio, na lewej pomocy. Wobec tego musiał on w porę wycofać się do strefy zagrożonej pola (Pol grający w obronie nie był zagrożony) i w razie potrzeby meldować się w napadzie.

Nie drzemał także przebiegły zwykle w takich sprawach trener Moriś. Jego to naukom zawdzięczają nasi chłopcy ową subtelną, pełną kapitalnej finezji, symfonię piłkarską.

Była to bowiem prawdziwa uczta duchowa dla miłośników futbolu. Kosiorek do czasu przetrącenia mu lewej nogi przez napad gospodarzy grał z olśniewającą brawurą. Już w pierwszych minutach wpisał na listę kontuzjowanych dwu zawodników „Cieni".

Niestety, można tu w odniesieniu do tego ambitnego zawodnika zastosować przysłowie „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie". Tak więc w dwudziestej ósmej minucie gry Kosiorek nie trafił w goleń Byka z „Cieni", co ten z błyskawicznym refleksem wykorzystał, łamiąc nogę naszemu zawodnikowi.

No cóż, wszak lepszym tuzom zdarzały się również takie pudła.

I jeszcze słowo o zespole „Cieni". Te lwy futbolu, tygrysy polskiego sportu — rewelacyjni zawodnicy, ratujący do niedawna honor Polski w komorach celnych i stadionach świata, spadli ostatnio o dwie klasy niżej. Grali słabo i nie zachwycili koneserów piłkarstwa.

LIGA KIBLUJE

„Zamaszyści" — Sikórz — 23 lata 9 miesięcy.

„Stomatolog" — Zębice — 19 lat 3 miesiące.

„Elegant" — Gać Kaliska — 19 lat 2 miesiące.

„Rzemieślnik" — Świnary — 17 lat 8 miesięcy.

„Nalewka" — Żytniów — 15 lat 8 miesięcy.

„Błękitnokrwiści" — Owsiszcze — 12 lat 7 miesięcy.

„Błyskawice" — Pogwizdów — 10 lat 3 miesiące.

„Alpuhara" — Mońki Centralne — 8 lat 3 miesiące.

„Żelaziści" — Pupy — 6 lat 2 miesiące.

„Czarni" — Kobyla Głowa — 4 lata 3 miesiące.

(Jak łatwo się domyśleć, wszystkie wyroki zostaną przez PZPN pośpiesznie anulowane).

Wiadomości z ringu

SIŁA NASZYCH PIĘŚCI

Pokusiliśmy się o sporządzenie niewielkiej statystyki, która, jak się spodziewamy, da naszym czytelnikom wiele satysfakcji i powodów do dumy z siły pięści naszych bokserów.

Wyporek znokautował Korbę na czas 2 min. 18 sek.

Tydzień później Korba prawym sierpem odebrał Wyporkowi przytomność na czas 2 min. 58 sek.

Kobiałka wysłał Siulima w krainę marzeń (3 min. 40 sek).

Odrzut znokautował Bitnego na okres 9 min. 11 sek. Rekord pobił jednak Kobyła, który unieprzytomnił Twardowskiego na 13 godz. i 37 min. Niestety, rekord powyższy nie zostanie oficjalnie uznany, ponieważ przy jego ustanawianiu popełniono kilka nieformalności. Mianowicie okazało się, że Kobyła dokonał tego wyczynu przy pomocy żelaznego łomu. Jeszcze większą przeszkodą jest fakt, że Twardowski okazał się przypadkowo spotkanym przechodniem.

MISTRZ... SKRZYPIEC

Przebywający na tournee w naszym kraju włoski skrzypek wirtuoz Achillo Tibaldini szokował olbrzymie rzesze melomanów nie tylko fenomenalną grą ale i tym, że występował zawsze w czarnej maseczce. Ostatnio, w czasie koncertu w Chorzowie, okazało się że Tibaldini nie jest Włochem, a po prostu rdzennym łodzianinem. Jego nazwisko znają wielbiciele boksu. Brzmi ono: Antoni Kaszaniec. Kaszaniec jest pięściarzem wagi lekko półśredniej.

WITAMY NASZYCH KOLARZY!

Gdy milicji udało się rozpędzić tłumy kibiców witających powracającą z Włoch ekipę naszych kolarzy, zdołałem uzyskać 5 minut rozmowy z trenerem naszych chłopców.

— Jakie wrażenia? — pytam w przelocie.

— Niebywałe. Cinzano, Tarantella, piękne Włoszki — słodkie życie! Może potrzebuje pan trochę wełny? 100 procentowa, tania!

— Nie, dziękuję. Ja pytałem o wrażenia w sensie sportowym.

— Chłopcy mieli potwornego pecha. Gdyby nie pech, na pewno wszyscy dojechaliby do mety. Ale dużo się nauczyliśmy. Może kupi pan skuter? „Vespa", bardzo tanio.

— Nie, dziękuję. A jakie doświadczenia przywieźliście z Włoch?

Okazało się, że triumfatorzy wyścigu są autentycznymi amatorami. Złożyliśmy protest w UCI przeciwko nieuczciwości tych typów. Mam na zbyciu trochę włoskiego nieba. Tanio. Szalona okazja.

— Dziękuję, nie reflektuję — rzucam na pożegnanie kolarzy udających się na zasłużony odpoczynek.

Co? Jak? Gdzie?

KIESZONKOWY PORADNIK SPORTOWCA-AMATORA.

W naszym mikroskopijnym poradniku staramy się przyjść z pomocą amatorom sportowej przygody. Pomijamy wieloletnich działaczy. Ci wiedzą wszystko. Ale początkujący sportowiec-amator narażony jest często na nieporozumienia i przykrości. Wychodzimy wam naprzeciw.

CO? — Wszystko. Jak dowiodła historia i wielu naszych znajomych nie ma takiej rzeczy, której nie można by wymienić względnie sprzedać. A więc śmiało. Handlujmy wszystkim — od najbliższej rodziny począwszy do najwięk.szych osiągnięć naszej techniki. (Przykład: cudzoziemiec, któremu usiłowano odsprzedać Pałac Kultury). Nie jest więc ważne CO, ale JAK się to podaje!

JAK? — Też nie ma specjalnych reguł. Przestrzegamy jednak przed kardynalnymi błędami. Nie radzimy lekkoatlecie przewozić rzeczy w rękawicy bokserskiej — to budzi podejrzenia celników. Reprezentanci drużyny szachowej nie powinni przewozić złotych dysków — wszyscy wiedzą, że takiej figury w szachach nie ma. Do tych rzeczy należy podejść umiejętnie. Uznane przez fachowców jest przemycanie złota w sztucznej szczęce. Złote zęby rzecz normalna. Nieco niebezpieczniejszym i wymagającym pewnych zabiegów sposobem jest przewożenie złota w postaci wstawionych żeber czy piszczeli. Jak widać wszystko jest możliwe należy tylko wysilić trochę inteligencję.

GDZIE? — Lansujemy kraje egzotyczne i możliwie jak najmniej ucywilizowane. Przemawia za tym wiele względów. Primo: — ludność takich krajów prawie wcale nie orientuje się w cenach rynkowych. Secundo: komplet bezużytecznych żyletek rodzimej produkcji łatwo odsprzedać możemy jako zestaw do mało znanych w tym kraju gier hazardowych, jak oczko czy poker. Tertio: dyskusja na migi nie wymaga znajomości obcych języków. Przestrzegamy jednak osoby o kształtach obfitych przed dziedzicznymi skłonnościa ii niektórych plemion afrykańskich.

Fraszki sportowe

NA PEWNEGO PRAWOSKRZYDŁOWEGO

Coraz słabiej grywa w polu,
Prawą nogę moczy w alkoholu.

SPORTOWIEC — PALACZ

Formę zgubił w kłębach dymu,
Co nie ma sensu, lecz jest do rymu.

NA SĘDZIEGO

Gwizdał, gwizdał, roczek cały,
Aż go tłumy wygwizdały.

Krótko o wszystkim

ZADROŻNY ZNÓW KRĘCI

Jak się ostatnio dowiadujemy czołowy reprezentant „Pogoni" (Lipiny) Zadrożny — po krótkie przerwie — znów zaczął kręcić. Prokurator prowadzący śledztwo twierdzi, że Zadrożny coś kręci w czasie przesłuchań.

FANTASTYCZNY CIOS BOBKA

W czasie ostatniego turnieju pięściarskiego o puchar Ministerstwa Handlu Zagranicznego walczącemu amoitnie zawodnikowi „Burzy" Bobkowi wyszedł fantastyczny cios. Bobek momentalnie poszedł za ciosem i jak dotychczas jeszcze nie wrócił.

ROZWYDRZONY SĘDZIA

W miejscowości Długa sędzia prowadzący spotkanie tamtejszych drużyn pobił dotkliwie gwizdkiem dwutysięczną publiczność. Tłumaczył się potem, że sędzią jest od niedawna ale ma szczególne uczulenie na gwizdy.

SKOK A LA POLOGNE

Wczoraj we wczesnych godzinach popołudniowych Stanisław Męski ustanowił absolutny rekord w skoku z opóźnionym otwarciem spadochronu. Pogrzeb Męskiego odbędzie się jutro.

KOPERA DOSZEDŁ...

Znany kolarz Kopera doszedł do wniosku, że z kolarstwa nie wyżyje i przerzucił się na hodowlę zwierząt futerkowych.

KOPEREK I UBYCH ZA PIĘĆ DWUNASTA

Jak donosi Polska Agencja Sportowa wkrótce dojdzie do spotkania Koperka (Czarni) z Ubychem (Stalowiec). Miejscem pasjonującego spotkania będzie więzienie w Rawiczu.

HISTORYCZNA VICTORIA

Onegdaj w Sandomierzu triumfował Pepko II wygrywając w „oczko" 1.852 zł. Tym samym Pepko II wyrównał rekord Polski należący do Wieczorka (Zgierskie Tygrysy).

GÓRĄ NASI

Jak donosi nasz korespondent z Opola nasi piłkarze grali górą i ponieśli nieznaczną klęskę 0:6. Ducha dzielnych chłopców nie złamało nawet to, że w restauracji „Centralna" skradziono im sprzęt i dobrą sławę.

„NIEZŁOMNY DUCH SPORTOWCA" PERIODYK RZADKI

Redaguje kolegium: Jerzy Dębski (z-ca red. nacz.), Stanisław Gratkowski, Włodzimierz Łuszczykiewicz, Marek Wawrzkiewicz (red. naczelny) i Jerzy Wilmański (sekr. red.).

— Proszę wejść, już przynoszę pieniądze.

— Nie, nie trzeba — dziewczynka poruszyła się jakby strwożona — zaczekam tutaj...

— Ależ, proszę wejść, po co ma pani marznąć — rzekłem i prawie siłą wciągnąłem ją do pokoju. — Muszę przejrzeć pracę i zobaczyć, czy warta jest, by za nią płacić.

Dziewczynka przywarła plecami do drzwi i spoglądała na mnie otwartymi szeroko oczami.

— To zabronione... — wyszeptała.

— Co zabronione?

— Wchodzić do domu klientów... Dostałam taką instrukcję, proszę pana.

— Niech pani plunie na tę instrukcję. Ja tu jestem gospodarzem i nikt się nie dowie, że wstępowała pani do mnie.

— O, proszę pana... Oni wszystkiego się dowiedzą, a wtedy...

— Co wtedy? — zapytałem, podchodząc do niej.

— O, to straszne...

Nagle pochyliła głowę i rozpłakała się.

Położyłem rękę na jej ramieniu, w tym momencie wzdrygnęła się gwałtownie i wyskoczyła za drzwi.

— Proszę natychmiast o siedemset marek, muszę już iść — wyrzekła głosem drżącym, ale pełnym stanowczości.

Podałem jej pieniądze, porwała mi je z rąk i umknęła.

Gdy otworzyłem pakiet, omal nie krzyknąłem ze zdumienia. Przez dłuższą chwilę patrzyłem na stosik fotokopii nie wierząc własnym oczom. Najbardziej zdumiało mnie to, że wyliczenia były spisane innym charakterem pisma.

Drugi genialny matematyk! Ten wszakże był jeszcze bardziej genialny, niż pierwszy, gdyż na pięćdziesięciu trzech arkuszach papieru rozwiązał równania po stokroć trudniejsze, niż poprzednie. Przebiegając wzrokiem kartki, wypełnione energicznym, zamaszystym pismem, wpatrując się w całki, sumy, wariacje i inne wzory z najtrudniejszych dziedzin nauk matematycznych, pomyślałem sobie w pewnym momencie, że znalazłem się oto w jakimś nieznanym mi dziwnym świecie matematyki, w którym wszelkie trudności utraciły jakiekolwiek znaczenie: Jakby po prostu nigdy nie istniały.

Wydawać się mogło, że matematyk, który rozwiązywał moje drugie zadanie, robił to bez żadnych trudności, tak samo, jak my dodajemy lub odejmujemy w słupku dwucyfrowe liczby.

Kilkakrotnie przerywałem czytanie rękopisu, by zajrzeć do podręczników matematyki. Zdumiewała mnie sprawność, z jaką nieznany mi matematyk posługiwał się najbardziej skomplikowanymi twierdzeniami i tematami. Logika jego była wprost niewiarogodna, głębia myśli nieogarniona, a metoda rozwiązania nie nasuwała żadnych zastrzeżeń. Gdyby najgenialniejsi matematycy wszystkich czasów i narodów, tacy, jak Newton, Leibnitz, Gauss, Eiler, Łobaczewski, Weierstrass, Hilbert i wielu innych, mogli widzieć, jak rozwiązano to zadanie, byliby bez wątpienia nie mniej ode mnie zdumieni.

Po przestudiowaniu rękopisu całkiem oszołomiony i z zachwianym poczuciem rzeczywistości pogrążyłem się w myślach.

„Skąd Kraftstudt wziął takich matematyków?" Teraz byłem już pewien, że miał ich nie dwóch i nie trzech, lecz z pewnością całą grupę. Nie mógł przecie zakładać poważnego ośrodka obliczeniowego, korzystając tylko z dwóch czy trzech osób. Jak mu się to udało? Dlaczego firma mieści się w tym samym gmachu, co dom wariatów? Kto i dlaczego krzyczał tak nieludzko tam za ścianą?".

„Kraftstudt, Kraftstudt..." — nazwisko to gdzieś i kiedyś usłyszane chodziło mi po głowie, dręczyło mnie. Ale gdzie i kiedy? Kto się kryje pod tym nazwiskiem? Chodziłem po gabinecie, ściskałem głowę rękami i usiłowałem przypomnieć sobie, co wiedziałem o Kraftstudcie.

3

Potem znów zasiadłem do genialnego manuskryptu, rozkoszując się jego treścią, studiując wszystko oddzielnie i po kolei, zagłębiając się w tok dowodzenia poszczególnych twierdzeń i wyprowadzania wzorów. Nagle zerwałem się na równe nogi. Poderwałem się, gdyż w pewnej chwili znów przypomniał mi się przeraźliwy, nieludzki krzyk równocześnie z nazwiskiem Kraftstudta.

Skojarzenie to nie było przypadkowe. Inaczej zresztą być nie mogło. Tak właśnie — nieludzki krzyk kogoś katowanego i Kraftstudt! Oba te elementy tworzyły nierozłączną całość. W czasie drugiej wojny światowej niejaki Kraftstudt był oficerem śledczym w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Grazu. Po wojnie stanął przed sądem. Za katowanie i mordowanie ludzi został skazany na dożywotnie więzienie. Od tamtej chwili wszelki słuch o nim zaginął.

Przypomniałem sobie wyraźnie opublikowane we wszystkich gazetach zdjęcie tego człowieka w mundurze obersturmführera SS w pince-nez, o oczach szeroko otwartych, nawet jakby zdziwionych, i otyłej twarzy. Trudno było uwierzyć, że człowiek o takiej fizjonomii mógł być oprawcą w hitlerowskich katowniach. Jednakże równocześnie ze zdjęciem podawano szczegółowe zeznania świadków i wyniki śledztwa. Tak, Kraftstudt rzeczywiście był oprawcą.

Co się z nim stało po procesie? Czy aby go teraz nie zwolniono, tak jak wielu innych zbrodniarzy?

Ale co on może mieć wspólnego z matematyką? Gdzież tu jakiś logiczny związek: oprawca z obozów i genialne rozwiązania równań różniczkowych i całkowych?

W tym miejscu nić moich rozważań rwała się i wiedziałem, że nie potrafię powiązać tych dwu ogniw. Coś się tu nie zgadzało, kryła się w tym jakaś tajemnica, której nie byłem w stanie wyjaśnić w drodze czysto abstrakcyjnego rozumowania.

Jak bym nie łamał nad tym głowy, jak bym nie próbował sprowadzić wszystkich tych elementów do wspólnego mianownika — Kraftstudta, „przybytek mędrców" i grupę genialnych matematyków — w żaden sposób to mi się nie udawało. W dodatku jeszcze ta dziewczynka, która oświadczyła, że „oni i tak się wszystkiego dowiedzą..." Jakaż była bojaźliwa i wylękniona!

Po kilku dniach dręczących rozmyślań doszedłem do przekonania, że jeśli nie wyjaśnię tej tajemnicy, to całkiem mi się w głowie pomiesza.

Przede wszystkim postanowiłem przekonać się, czy Kraftstudt z ośrodka matematycznego i Kraftstudt, zbrodniarz wojenny, to jedna i ta sama postać.

* ★ *

Kiedy stanąłem po raz trzeci przed niskimi drzwiami wiodącymi do firmy Kraftstudta, poczułem, że teraz musi się stać coś takiego, co odegra zasadniczą rolę w całym moim życiu. Nie wiem czemu, ale zwolniłem taksówkę i dopiero gdy auto skryło się za zakrętem, zadzwoniłem do drzwi.

Odniosłem wrażenie, jak gdyby młody człowiek o zmiętej, prawie starczej twarzy, oczekiwał mnie. Od razu wziął mnie za rękę i nie pytając o nic poprowadził przez ciemne podziemia do tej samej poczekalni, w której byłem już dwukrotnie.

— A więc, z czym pan znów przychodzi? — zapytał impertynencko.

— Chciałbym widzieć się osobiście z panem Kraftstudtem — wybąkałem.

— Co, ma pan jakieś pretensje do firmy, panie profesorze? — spytał.

— Chciałbym widzieć się z panem Kraftstudtem — powtórzyłem, starając się nie patrzeć w jego wielkie, czarne oczy, które miały w tej chwili zły i urągliwy wyraz.

— To pańska sprawa. Mnie to mało obchodzi — rzekł po tym, gdy wytrzymałem trwające dłuższą chwilę spojrzenie jego badawczych oczu. — Proszę zaczekać tutaj.

Po czym znikł w którychś z drzwi za oszkloną przegrodą i nie było go przeszło pół godziny.

Prawie już zdrzemnąłem się, gdy posłyszałem szmer w końcu sali i w półmroku ukazała się postać człowieka w białym fartuchu ze stetoskopem w rękach. „Doktor" — pomyślałem sobie. — Zaraz zacznie mnie badać i osłuchiwać. Czyżby to było konieczne, by się zobaczyć z panem Kraftstudtem?"

— Pan pozwoli — rzekł doktor uprzejmie. Ruszyłem za nim, nie mając zielonego pojęcia o tym, co za chwilę stanie się ze mną i jakie konsekwencje mogą wyniknąć z tego mojego pomysłu.

Minąwszy drzwi w oszklonej przegrodzie, pospieszyłem za człowiekiem w białym fartuchu. Szliśmy długim korytarzem, do którego skądś z góry przenikało światło dnia. Korytarz kończył się wielkimi, masywnymi drzwiami. Doktor zatrzymał się.

— Proszę tu zaczekać. Zaraz zostanie pan przyjęty przez Kraftstudta.

Doktor zjawił się znowu po upływie pięciu minut. Szeroko otworzył drzwi i przez chwilę sylwetka jego rysowała się ciemno w promieniach wpadającego tu światła dziennego.

— No cóż, chodźmy—rzekł głosem człowieka, który żałuje tego, co ma za chwilę nastąpić.

Posłusznie ruszyłem za nim. Gdy weszliśmy do przestronnego, jasnego pokoju o wielkich oknach, mimowoli przymknąłem oczy. Z odrętwienia wyrwał mnie ostry głos.

— Proszę bliżej, profesorze Rauch.

Odwróciłem się w prawo i zobaczyłem Kraftstudta, tego samego Kraftstudta, którego znałem z licznych zdjęć w gazetach.

— Zdaje się, że pragnął pan widzieć się ze mną — zapytał bez przywitania, nie wstając zza biurka. — Czym mogę służyć?

Szybko wziąłem się w garść i przełknąwszy ślinę — podszedłem aż do samego biurka, przy którym siedział.

— Ach, więc zmienił pan rodzaj zajęć — spytałem,

spoglądając mu prosto w twarz. W porównaniu z tym, jakim był piętnaście lat temu, postarzał się wyraźnie, na twarzy pojawiły się grube fałdy, zwisające jak zwiędłe worki na ostro zarysowanych kościach policzkowych.

— Co pan ma na myśli, profesorze? — rzucił pytanie, patrząc na mnie i bacznie mnie obserwując.

— Ja, panie Kraftstudt, sądziłem, a ściślej mówiąc, miałem nadzieję, że pan wciąż jeszcze...

— Ach, o to chodzi!

I Kraftstudt roześmiał się na cały głos.

— Inne czasy, Rauch. Inne... Co pana sprowadza do mnie, profesorze?

— Panie Kraftstudt, ja, jak może pan się domyślać, znam się coś niecoś na matematyce, mam na myśli oczywiście matematykę współczesną. Sądziłem więc z początku, że zorganizował pan normalny ośrodek obliczeniowy, wyposażony w elektronowe matematyczne maszyny. Jednakże już dwukrotnie przekonałem się dowodnie, że tak nie jest. W pańskim ośrodku zadania matematyczne rozwiązują ludzie. Rozwiązują je wprost genialnie. A co najdziwniejsze — zdumiewająco szybko, nadludzko szybko. Ja, jeśli pan pozwoli, ośmieliłem się przyjść do pana, żeby zapoznać się z pańskimi matematykami, którzy naturalnie są ludźmi nieprzeciętnymi.

Kraftstudt początkowo skrzywił twarz w uśmiechu, a potem zaczął śmiać się, najpierw cicho, później coraz głośniej i głośniej.

— Czego pan tak się śmieje, panie Kraftstudt? — oburzyłem się. — Przecież każdy człowiek o zdrowych zmysłach musiałby popaść w zdumienie, zaznajomiwszy się z tymi rozwiązaniami równań, jakie przekazała do mojej dyspozycji pańska firma!

— Śmieję się z czego innego, Rauch. Śmieję się z tego, że jest pan ograniczony, jak prowincjusz. Śmieję się z tego, że pan, profesorze, człowiek ogólnie szanowany w mieście, zawsze wprawiający wszystkich w podziw swą uczonością, tak beznadziejnie nie nadąża za gwałtownym postępem współczesnej nauki!

Byłem oburzony bezczelnością byłego hitlerowskiego oprawcy.

— Proszę słuchać — zawołałem. — Ledwie piętnaście lat temu specjalnością pana było torturowanie niewinnych ludzi rozpalonym żelazem. Jakie ma pan dziś prawo mądrzyć się na temat nauki współczesnej? Jeśli chce pan wiedzieć, Kraftstudt, przyszedłem by się dowiedzieć, jakimi metodami zmusza pan podwładnych sobie tak utalentowanych ludzi do wykonywania w przeciągu jednej doby pracy, której podołać mógłby tylko człowiek genialny i to w przeciągu paru lat. Dowiedzieć się i powiadomić o tym wszystkich.

Kraftstudt podniósł się z krzesła i nasępiwszy brwi podszedł do mnie.

— Niech pan słucha, Rauch. Radziłbym panu nie denerwować mnie. Wiedziałem, że zgłosi się pan do mnie wcześniej czy później. Nie spodziewałem się jednak wcale, że tu w swoim gabinecie spotkam idiotę. Przyznaję, miałem nadzieję znaleźć w osobie pana, za pozwoleniem, sprzymierzeńca i pomocnika.

— C-o-o? — zawołałem, zaciskając ze wściekłości pięści i podchodząc bliżej do biurka Kraftstudta.

Twarz Kraftstudta ściągnęła się w szarożółtą, bezkształtną maskę. Wyblakłe, niebieskie oczy za szkłami pince-nez zamieniły się w dwie wąskie szparki, w których zaświecił jakiś zielony, jadowity blask. Przez chwilę zdawało mi się, że przygląda mi się tak jak rzeczy, którą zamierza sobie przywłaszczyć.

— A zatem chce pan, żebym wyjaśnił panu, czy nasza firma pracuje rzetelnie? Mało więc jeszcze panu tego, że dwa pańskie idiotyczne zadania zostały rozwiązane tak, jak powinny być rozwiązywane w dwudziestym wieku? Chciałby więc pan przekonać się na własnej skórze, co znaczy rozwiązywanie takich zadań? — mówił jadowicie cicho. Jego odpychająca twarz była jak bezkształtna bryła, pulsująca nieprzerwanie wściekłością i nienawiścią. — Dosyć tego! Ostatecznie, nie prosiłem wcale, żeby pan tu do mnie przychodził. Ale jeśli już pan przyszedł i to z takimi zamiarami, dobrze, przyda nam się pan, czy będzie pan tego chciał, czy nie.

W tej samej chwili silna ręka pochwyciła mnie za twarz, mocno zacisnęła mi usta, druga zaś podsunęła pod nos kawałek waty, nasyconej jakąś substancją o ostrym zapachu.

Straciłem przytomność.

Ocknąłem się na łóżku i długo nie mogłem się zdecydować na otworzenie oczu. Dokoła rozbrzmiewały głosy jakichś ludzi. Dyskutowali o czymś zawzięcie, była to dyskusja naukowa, której treść przez jakiś czas nie docierała do mojej świadomości. Dopiero gdy trochę oprzytomniałem, zacząłem chwytać sens zdań, wygłaszanych przez osoby, które znajdowały się koło mnie.

— Henryk nie ma zupełnie racji. Jak się okazało kod impulsów, który ma pobudzać neurony ośrodków woli nie składa się wcale z pięćdziesięciu sygnałów następujących po sobie w równych odstępach czasu i pięciu dłuższych przerw między równymi seriami. Wczoraj sprawdzono to najdowodniej podczas eksperymentów z Nicholsem.

— No wiesz, ten twój Nichols, to żaden przykład. Musisz wiedzieć, że kod dla pobudzenia neuronów jest w przypadku każdego człowieka indywidualny. To co pobudza ośrodki woli u jednego, może pobudzać coś całkiem innego u kogoś drugiego. Na przykład pobudzenie elektryczne, które Nicholsowi sprawia rozkosz, u mnie powoduje głuchnięcie. Gdy zostanę podłączony w obwód, mam takie uczucie jak gdyby wstawiono mi do uszu dwie trąby, przez które przelewa mi się do głowy huk silników samolotowych.

d. c. n.

ODGŁOSY tygodnia

DEFICYT

Krzywa wypadków drogowych idzie w górę wraz ze wzrostem ilości pojazdów mechanicznych. Da każdego kierowcy samochodu, motocykla lub skutera z dnia na dzień zwiększa się ryzyko szkody materialnej i odpowiedzialności cywilnej. Zdawałoby się w związku z tym, że ludzie walą drzwiami i oknami do PZU, ubezpieczając się na auto-casco i od od powiedzialności cywilnej, a sam Zakład robi na tym złoty interes.

Otóż nic podobnego. Jak nam oświadczono w dyrekcji PZU na m. Łódź, jest to kategoria ubezpieczeń absolutnie deficytowa. Sumy wypłacone na szkody w grupie pojazdów mechanicznych wynosiły w ubiegłym roku 200 procent zbioru składki. W skali krajowej deficyt wyniósł 15 proc. Z tego względu PZU zmuszony był podnieść wysokość składek. Mimo to nasza taryfa jest jedną z najniższych w Europie. W NRF i Francji składka ubezpieczeniowa wynosi 8 proc. wartości pojazdu. U nas zaledwie 2,3 proc. Voila, obywatele kierowcy!

TAJEMNICE PAŃSTWOWE

Odbywają się ostatnio masowe szczepienia przeciwko durowi brzusznemu. Wydawałoby się, że kazdy zdaje sobie sprawę, iż poddanie się szczepieniom jest obowiązkiem, którego dla własnego dobra nikt nie powinien zaniedbać.

Okazuje się jednak, że różnie z tym bywa. Wielu, bardzo wielu łodzian płaci obecnie „gapowe" za własne niedbalstwo i lekkomyślność. Niestety, nie możemy podać dokładnej sumy owego „gapowego". W Stacji Sanitarno—Epidemiologicznej odsyłano nas od Annasza do Kaifasza, aż wreszcie pielęgniarka oświadczyła, że liczby tej podać nie wolno. Pewno taka wiadomość to przecież nie lada gratka dla obcego wywiadu.

Podobnie oświadczono w Urzędzie Telefonów Miejscowych, twierdząc, że ilość aparatów telefonicznych zainstalowanych w naszym mieście jest także... tajemnicą państwową.

I któż by przypuszczał, że poczciwy „Spis telefonów miasta Łodzi i województwa łódzkiego" jest tajnym dokumentem.

TRAKTAT POKOJOWY NA OSIEDLU im. WŁADY BYTOMSKIEJ

Spór o garaże na osiedlu im. Wlady Bytomskiej (donosiliśmy o nim w poprzednich numerach „Odgłosów") doczekał sie szczęśliwego zakończenia. W obecności przewodniczącego Prez. RN m. Łodzi ob. E. Kaźmierczaka spotkali się przedstawiciele zainteresowanych stron.

Okazało się, że przewodniczący RN Łódź Bałuty ob. Sikorski, słusznie postąpił zmieniając decyzję o lokalizacji garaży, działał bowiem w interesie publicznym. Raz jeszcze dojrzałość społeczna działacza, troska o warunki bytowe ludzi uchyliła niesłuszną, choć podjętą decyzję. Okazało się również, że Komitety Blokowe i Frontu Jedności Narodu działały zgodnie z potrzebami mieszkańców osiedla, bez trudu dali się o tym przekonać i właściciele samochodów, którym tak samo chodzi o dobro mieszkańców nowej i reprezentacyjnej dzielnicy miasta.

Traktat pokojowy został więc niejako, podpisany, ale jak to traktat, wszystkiego nie załatwia. Powstaje bowiem pytanie — skoro wszyscy mieli na myśli dobro powszechne, czemu wybuchł spór?

Myślimy, że formowanie się więzi społecznej, wzajemnego szacunku i pomocy w nowych dzielnicach to nie jest sprawa prosta. Ludzie są sobie początkowo obcy, nie znają się grają silnie dawne nawyki, ponoszą temperamenty, wybuchają kłótnie, które zaciemniają obraz zupełnie prostej i oczywistej sprawy. Jak wygląda nowa dzielnica miasta z punktu widzenia stosunków pomiędzy ludźmi — do tego zagadnienia jeszcze powrócimy.

Chcielibyśmy na marginesie wspomnianego traktatu pokojowego zauważyć, że władze terenowe przed podjęciem decyzji i zainteresowani obywatele nim wydadzą opinie o drugim człowieku powinni doliczyć do stu. Uwaga ta dotyczy rzecz prosta również i „Odgłosów".

Wiadomości budowlane

SEZON w PEŁNI

Na terenie wielkiej Łodzi buduje się w tej chwili 1.230 domków jednorodzinnych. Są to budowy legalne, przepisowo zlokalizowane i zaprojektowane. Powyższa liczba nie oddaje, oczywiście, całego rozmachu w tej dziedzinie.

Sporo domków bowiem rośnie zgodnie z tradycją łódzką w sposób dziki, bez pozwoleń i planów. W pierwszym kwartale bieżącego roku wykryto 48 przypadków samowoli. Skoro tyle wykryto, to ile nie wykryto.

SAMOWOLA

Najstarszy, drewniany kościół w Łodzi przy ul. Ogrodowej powiększył się o murowaną przybudówkę. Inicjatorem budowy jest proboszcz tutejszej parafii św. Józefa, ks. Stanisław Lesiewicz. Historyczny kościółek znajduje się pod ochroną wojewódzkiego konserwatora zabytków, który na osobliwą modernizację obiektu rzecz jasna, nie wyraził zgody. Wydział Architektury i Nadzoru Budowlanego też inicjatywy księdza proboszcza nie akceptował.

Może nam ktoś powie, jak tu chronić zabytki?

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, Tel. 248 79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 1675 VI. L-4

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Z DZIEDZINY GUSTÓW

W oparciu o informacje właścicielki „Pierwszej Łódzkiej Wypożyczalni Książek" przy ul. Struga 5 spróbowaliśmy ułożyć aktualną listę „bestsellerów". Wypożyczalnia ma około 1 000 czytelników, dziesięciokrotnie większą ilość książek, zaopatrywana jest we wszystkie nowości z literatury pięknej.

A oto lista:

1. Breza — „Spiżowa brama".
2. Hemingway — „Komu bije dzwon".
3. Fleszarowa — „Pozwólcie nam krzyczeć".
4. Macierzewska — „Grodzisko nad Bobrem".
5. Mrówczyński — „Cień Montezumy".

Krytyków literackich przepraszamy, że nasza lista nie pokrywa się w całości z ich wybrednymi gustami. Dodajmy, że największą grupę czytelników stanowią „pożeracze" wszystkich bez wyjątku książek historycznych że kobiety wciąż z pasją szukają powieści z bogatym wątkiem erotycznym, że obok Steinbecka niezwykłym wzięciem cieszy się Barbara Gordon („Gdy wrócisz", „Ulica bliska" itp. rzeczy), a będziemy mieli szkic obrazu konglomeratu aktualnych gustów i guścików. Co ciekawsze, tak gusta jak i guściki współżyją czasem ze sobą w jednym i tym samym czytelniku.

WITAJ SMUTKU

Felietonista zaprzyjaźnionej naszej, łódzkiej popołudniówki p. Marek napisał był w ubiegłotygodniowej swej elukubracji, że jest smutny z tego między innymi powodu, iż łodzianie śmieca. W związku z tym p. Marek żąda od milicji, żeby karała mandatami każdego rzucającego zapałkę bądź niedopałek papierosa na ulicę. Ta myśl publicystyczna wydaje się nam wielce konstruktywna, albowiem wiadomo, że milicja cierpi na bezczynność, nie mając się czym zajmować. W ogóle podoba nam się, iż w końcu jest jeszcze ktoś, kto docenia potęgę mandatu. Proponujemy rozszerzenie akcji mandatowej w Łodzi! Objąć nią wszystko i wszystkich! A więc i tych, którzy wyrażają się w miejscach publicznych nieprzystojnie, i tych, którzy szeleszczą popierkami w teatrze, i tych, którzy czytają głośno napisy w kinie i tych, którzy opowiadają stare dowcipy, a nawet tych, którzy się śmieją czytając felietony Marka.

Co do nich, to zwracamy uwagę na zeszłotygodniowy właśnie dlatego, że p. Marek obwieścił nimie swój totalny smutek. W ogóle felietonistyka p. Marka jest dość smutna, ale nigdy dotąd, co jest godne odnotowania, autor nie zdobył się na tak szczere samookreślenie. Wśród wielu powodów swego smutku p. Marek wyłożył i to, że szereg instytucji, o których od lat pisuje regularnie, nie reaguje na jego krytykę i pomysły. Nic dziwnego skoro są wyżej przedstawionej jakości. A swoją drogą ze względu na szczere samookreślenie p. Marka — witaj, smutku!

MALI FIDEIŚCI

Oto zapiski z jednej tylko księgi wyłożonej przed obrazem św. Rafała w zabytkowym klasztorze w Łagiewnikach.

„Święty Rafale spraf cud, aby mamusia mnie nie zbiła za tą dwujkę — Zosia".

„Święty Rafale — bardzo bym chciała mieć same piątki — Marysia".

„Proszę Cię św. Rafale zrób tak, żeby tatuś nie wiedział, że nie byłem w szkole — Wojciech S-ki".

„Bardzo Ci dziękuję, że mnie mamusia nie zbiła — Zosia".

POTRZEBY KULTURALNE

Jak nas informują w pewnej, łódzkiej księgarni, znanej z dużej frekwencji kupujących, udaremnia się w ciągu roku średnio około 10 prób kradzieży książek.

Nieliczne kradzieże pozostają nie wykryte — straty z tego tytułu wynoszą około 2 promille obrotów.

Przy próbach kradzieży personel „łapie za rękę" najróżniejszych ludzi — młodzież i starszych inteligentów i „gosposie", uczniów i robotników. Trudno przeprowadzić tu jakąś klasyfikację typów, tak jak trudno wyjaśnić skomplikowane motywy, które skłaniają do „aktu" kradzieży.

Bywają klienci, przychodzący z wyraźnym zamiarem dokonania kradzieży: obszerna teczka, w której nie ma nic poza miejscem na „łup", przyprowadzone specjalnie rozkoszne dziecko do zabawiania personelu itp. sposoby. Inni decydują się na kradzież już w księgarni, znęceni pozorną łatwością ściągnięcia książki z lady.

Kiedy sprawa trafia do sądu, adwokaci najczęściej próbują udowodnić, że w czynie klienta tkwią wyłącznie szlachetne pobudki. Sędziowie wobec tego rodzaju kradzieży są najczęściej zdezorientowani, stosują zwykle karę aresztu z zawieszeniem.